

Stefan Grzegorzczak, redaktor naczelny tygodnika „Piłka Nożna”:

„Niewykluczone, że Motor włączy się do walki o prawo gry w Pucharze UEFA” - str. 6-7

Dzieci śmieci

- str. 10

Bożena Kowalska:
AEROBIC
ZA 10 ZŁOTYCH

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Rok założenia 1933

Kamena

NR 8 (801)

8 - 21 kwietnia 1984

CENA 10 ZŁ



Kosynierzy pod Raclawicami. Rysunek Jana Piotra Norblina z 1801 r.

W 190 rocznicę

MITY I REALIA RACŁAWICKIEGO ZWYCIĘSTWA

TADEUSZ Kościuszko w swej pierwszej powstańczej bitwie pod Raclawicami (4 IV 1794 r.) odniósł nad nieprzyjacielem całkowite zwycięstwo. Straty rosyjskie były znaczne, przekraczały w zabitych i rannych 1000 żołnierzy. Jeńców wzięto niewiele, wraz z płk. Murmeowem zaledwie 21. „bo żywioł polityczny nie dał czasu pardonowania zapalonemu żołnierzowi”. Straty polskie były o połowę mniejsze. Zabitych

pochowano w pięciu wielkich mogiłach, kopce czterech z nich zachowały się na raclawickich polach do naszych czasów. Najcenniejszą polską zdobyczą stanowiło 12 dział z zaprzęgami i amunicją.

O zmroku na pobojowisku, dyszącym jeszcze od zaciętej i krwawej walki, zgromadzili się wokół zwycięskiego wodza jego żołnierze, powtarzając wzniesiony przez Naczelnika okrzyk

„Wiwat naród! Wiwat wolność!” Dodając od siebie: „Wiwat Kościuszkol” Radość z odniesionego sukcesu nie mogła przestonąć Naczelnikowi i innym, znacznie mniej korzystnych następstw. Zwycięskie, lecz nie przyzwyczajone do karności wojsko polskie uległo rozprężeniu, złamało szyki; „ani jedna kompania w porządku nie została” — wspominał Zajczek. Bohaterskich w

Wiesław Śladkowski

Dokończenie na str. 8—9

Różewicz dawny i nowy

Lidia Wójcik

„**R**OZEWICZ jest od lat pierwszą gwiazdą polskiej dramaturgii, nie ma równych, nie ma konkurentów, choć ma wrogów. [...] Różewicz jest świętością, można go nie lubić, ale nie sposób atakować [...], o ile oczywiście nie chce się zdobyć epitetu człowieka staroświeckiego, dogmatycznego lub po prostu głupca” — pisała o autorze „Kartoteki” w 1972 r. Marta Fik. Od tego czasu minęło już kilkanaście lat, Różewicz napisał nowe sztuki, teatr dokonał wielu inscenizacji jego dawnych i nowych dramatów. Ostatnio — 7 stycznia br. — Kazimierz Braun wystawił w Teatrze Współczesnym we Wrocławiu prapremierę najnowszej sztuki Różewicza, napisanej w 1981 r. „Pułapki”.

W każdym sezonie przepływa przez polskie sceny kilka inscenizacji różewiczowskich dramatów; najczęściej pojawia się pierwszy dramat, „Kartoteka”, i choć od czasu jego powstania minęło prawie ćwierć wieku (prapremiera w Teatrze Dramatycznym w Warszawie — 1960 r.) i dramat stał się już „klasiką”, wciąż budzi nie- słabnące zainteresowanie scen, zwłaszcza teatrów terenowych, które — jak pisała niedługo krytyka — w ten sposób nadrabiają zaległości w modzie na „awangardę”. Jest jednak „Kartoteka” najlepszym spośród różewiczowskich dramatów; świadczą o tym i inscenizacje teatralne, i — jak by to określił Różewicz — „wypracowania pisane przez zawodowych recenzentów”.

Dramaty Różewicza stanowią doskonały materiał sceniczny, są „formą otwartą”, pozostawiają inscenizatorom możliwość wykorzystywania własnych koncepcji. Zresztą sam Różewicz nie

Dokończenie na str. 9

z notatnika

23 III. Znow napłynęło kilka listów od naszych Czytelników na ten sam temat: wywiad z Mariolą X. Jakaś anonimowa matka z Chelma potępia i „Kamena” i Mariolę i telewizję (za to, że za dużo daje widowisk sportowych). Ostatecznie nikt jej nie każe ani „Kamena” czytać ani telewizji oglądać. W tym względzie nie ma jeszcze żadnego przymusu!

Ja na przykład nie muszę też czytać łomżyńskich „Kontaktów”. Ale czytam je (a przynajmniej przeglądam), ponieważ uważam, że jest to tygodnik znakomicie redagowany. Wcale to jednak nie oznacza, że czasami nie kręcę głową z dezaprobata. Darowałem „Kontaktom” „Ordynata Michorowskiego” (a tę powieść drukowano w odcinkach), bo wiem, że redakcja dąży do zdobywania wciąż nowych Czytelników. Ktoś kupi „Kontakty” dla Michorowskiego, a przy okazji przeczyta Zagórskiego i tak mu ten autor przypadnie do gustu, że w przyszłości nabędzie tygodnik i bez Michorowskiego.

Obecnie Michorowski się skończył; „Kontakty” rozpoczęły druk „Zycia po śmierci” Leszka Szumana. W pierwszym odcinku czytamy m.in.: „...dla ludzi z tamtego świata, w każdym razie dla duchów zamieszkujących płaszczyznę astralną najbliższą naszej Ziemi, ich świat prawie niczym nie różni się od świata fizycznego. Ich ciała astralne mają tam całkiem ziemski wygląd. Fakty te wydają się wielu niewiarygodne. Lecz jak się dalej przekonamy, wszystkie relacje z tamtego świata są do siebie uderzająco podobne. A poza tym zmarli, którzy nam o tym opowiadają, muszą chyba wiedzieć lepiej, jak wygląda świat, w którym przebywają”.

I tak „Kontakty”, które w nagłówku informują, że są pismem PZPR, partii — jako wiadomo — marksistowsko-leninowskiej, robią Czytelnikom wodę z mózgu. Stanowczo wołę wywiady z Mariolą X, chociaż to nie oznacza, że obdarzam Mariolę X sympatią czy szacunkiem. Faktem jest jednak, że niezależnie od tego, czy wywiad ukazałby się na łamach prasy lub nie, Mariolę X, Y, Z istnieją i prowadzą swoją łózkową działalność nie tylko między Bugiem a Odrą i nie tylko w XX wieku. Wystarczy sięgnąć do podręczników historii, chociaż może nie do tych, z których uczą się nasi maturzyści...

Wśród listów, które nadeszły do redakcji, najbardziej dziwił mnie ten, w których autorzy proszą o umożliwienie im kontaktu z Mariolą X. Mogę wskazać kilka lokalnych rozrywkowych w Lublinie, gdzie można poznać niejedną Mariolę X, Y, Z. Panie te raczej jed-

nak nie pracują społecznie, a jeśli chodzi o rozmowy, to lubią rozmowy bardzo konkretne. Nie wiem, czy Czytelnicy tego typu rozmowy będą w stanie (finansowym) prowadzić.

24 III. „Kurier Polski” wydaje comiesięczny dodatek pt. „Relaks i Kolekcjoner Polski”. Jeśli chodzi o kolekcje to najciekawsza jest rubryka ogłoszeń towarzyskich. Możemy w niej znaleźć np. takie teksty:

● Czterdziestoletni, o młodym wyglądzie, z temperamentem, dobrze sytuowany, samochód, pozna dwie przyjaciółki w wieku 20—40 lat, lubiące seks, stanu wolnego, w celu wspólnych spotkań. Dyskrekcja zapewniona. Oferty...

● Poszukujesz przyjaciół, lubisz zabawę i seks, mieszkasz w Lublinie — napisz. Oferty...

● Para dwudziestolatków pozna atrakcyjną panią. Fotooferty...

● 32-latek pozna panie lub pary w celu wspólnych spotkań — oferując seks, zrozumienie, tolerancję i dyskrecję. Oferty...

● Para, 27, 33 pozna tolerancyjne, lubiące seks pary, małżeństwo lub pojedyncze osoby, 20—45 lat. Oferty...

● Tworzę teorię i praktykę Wszechwielkości Wszechkulturowego Wszechseksualizmu — Wszechludzkiej Wszechmiłości Antymarnotrawnej, Antyalkoholowej, Antynarkomańskiej, Wszech optymistów zapraszamy do współdziałania. Oferty...

Przypominają mi się podobne w treści ogłoszenia zamieszczane przez różne dzienniki zachodnie. Ano — doganiamy! Szkoda, że w tej dziedzinie... A swoją drogą jaka to może być teoria i praktyka Wszechwielkości Wszechkulturowego Wszechseksualizmu? Może odpowiedzieć na ofertę?

27 III. Christopher Hitchens pisze na łamach „International Herald Tribune”: „Obserwując debatę na temat modlitwy w szkołach publicznych, zastanawiam się, czy Amerykanie zdają sobie sprawę z tego, jakie mają szczęście nie posiadając uznanego Kościoła. W kraju, z którego pochodzę [Anglia], ustawa z roku 1700 zakazuje następcy tronu poślubienia osoby wyznania katolickiego i stwierdza we wspaniałych terminach liturgicznych, że przechodzenie korony w obecnej linii protestanckiej jest zabezpieczone przez wspomnianą ustawę. Następnie czytamy: Każda osoba, która pojedna się lub obcować będzie ze stolicą lub Kościołem Rzymskim, albo preferować będzie religię papieską bądź poślubi papistę, wykluczona jest z dziedziczenia, posiadania lub korzystania z korony i w ta-

kim przypadku ludź jest zwolniony z obowiązku posłuszeństwa. Jasne? Nie jest to także przestarzałe — jak okazało się, gdy książę Karol zabiegał o względy katolickiej księżniczki z Luksemburga. Wszyscy nasi arcybiskupi i biskupi są mianowani przez premiera, działającego w teorii za radą królowej, która w teorii i praktyce jest głową zarówno angielskiego Kościoła jak i państwa...”

Za kilkanaście lat ludzkość wkroczy w wiek XXI... To ja.

28 III. „Ogłosiliście Spotkania Dziennikarskie i co?” — pyta nas w liście Iwona Z. z Kraśnika. Ogłosiliśmy, gdyż „Kamena” miała zostać od 1 stycznia br. tygodnikiem. Niestety, ze względów technicznych (moce produkcyjne drukarni) rzecz cała odwleka się, nikt chyba nie wie, na jak długo... Niemniej dwie prace nadesłane w ramach Spotkań już wydrukowaliśmy i sądzę, że Czytelnicy nawet nie zorientowali się, które... Na kilka listów jeszcze nie odpisaliśmy, przyznaję, ale nie spieszymy się z wiadomymi względów. O sobiście cieszę się, że na ogłoszony przez nas konkurs wspomnieniowy z okazji 40-lecia Polski Ludowej napłynęło już kilkanaście prac, niektóre bardzo obszerne i ciekawe. Piszę już, bo ostateczny termin nadsyłania prac mija 15 maja, jest więc jeszcze sporo czasu.

Z niepokojem obserwuję jednak, że ostatnio zmniejszyła się liczba listów nadsyłanych do redakcji. Jedynie wywiad z Mariolą X. w różny sposób poruszył naszych Czytelników. Szkoda, że tylko on. Na kontakcie z Czytelnikami bardzo nam zależy, a zwłaszcza interesują nas sygnały, które mogłyby stać się podstawą dziennikarskich penetracji.

30 III. „Badacze nauki mogą teraz wykażeć — pisze Daniel Goleman w „International Herald Tribune” — że pewne szczególnie ważne obszary inteligencji ludzkiej nie słabną na starość u ludzi, którzy są na ogół zdrowi. Co więcej, chociaż pewne inne aspekty inteligencji mogą podupać, to jej spadek jest względnie mało istotny, i, zdaniem ekspertów, był wyolbrzymiany. Nowe prace badawcze przeczą poglądom od dawna głoszonym przez naukowców i opinię publiczną. Sugerują, że u ludzi, którzy pozostają psychicznie i fizycznie zdrowi, pewne najważniejsze formy rozwoju umysłowego mogą trwać daleko po osiemdziesiątce...”

I dalej: „Nowym poglądom towarzyszą materiały statystyczne, przedstawiające się wyobrażeniom, jakoby mózg gwałtownie wyrodniał na starość. Obecnie wydaje się już bezpodstawne: 1) rozpowszechnione mniemanie, że mózg starego człowieka doznaje katastrofalnej utraty komórek oraz 2) pokrewna teza, iż każdy kieliszek alkoholu niszczy dużą ilość komórek mózgowych. Marion Diamond, neurolog z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley, próbowała wytopić źródło ta-

kich poglądów i nie mogła znaleźć żadnej pracy badawczej, która by je potwierdziła...”

Jeśli to, o czym wyżej, nie jest elementem kampanii przedwyborczej na rzecz Reagana, to klawol!

31 III. Gigantyczne kolejki przed stacjami CPN, świadczące o tym, że wielu posiadaczy samochodów nie wykorzystano swoich benzynowych przydziałów, jeszcze raz każe zadać pytanie: czy reglamentacja jest rzeczywiście potrzebna? Zwłaszcza teraz, po 20 proc. podwyżce ceny benzyny...

Aby pojechać z Lublina do Warszawy maluchem, trzeba (tam i z powrotem plus jazda po stolicy) zużyć ok. 22 litrów benzyny, czyli zapłacić 1100 zł (nie licząc tu ani zużytego oleju ani amortyzacji). Bilet pospieszny (tam i z powrotem II klasy) kosztuje, jak pamiętam, ok. 350 zł, a dla dwóch osób — ok. 700 zł, a więc również tylej. Coraz bardziej liczymy się z groszem i wydaje się, że wszelkie granice opłacalności jazdy samochodem (nawet wliczając tzw. komfort... komfort w maluchu — uśmieć się można) zostały już przekroczone. Znamienne są też doświadczenia jugosłowiańskie. Cena litra benzyny super wynosi tam 71 dinarów przy średniej płacy — 16 000 dinarów. Badania wykazały, że nie wszyscy miłośnicy czterech kółek wykupują tam pełne przydziały. Nie wiem, jak jest u nas, chociaż interesujące by było, gdyby przeprowadzić kontrolę piwnic i garaży. Ile tam zgromadzone łatwopalnych materiałów? Jest już wiosna, coraz cieplej, łatwo może nastąpić samozapalenie z tragicznymi konsekwencjami.

Nie wymienię już takiego „drobiazgu”, jakim jest zmarnowany czas. Czy ci wszyscy, którzy godziny wystawali w kolejkach, czynili to w ramach urlopów?

W Jugosławii coraz głośniejsze mówią o możliwości zniesienia reglamentacji na benzynę. My na ten temat nawet nie szepczemy.

1 IV. Chyba już „Polityka” nieco przesadza z tym strzelaniem do Zbigniewa Nienackiego. W najnowszym numerze z datą 31 marca primaaprilisowa „polemika” Nienackiego z Pasentem. Ile można?

Postanowiliśmy w najbliższej „Kamencie” wydrukować jednak fragment powieści „Raz w roku w Skiroławkach”. Ci, którzy mają nam za złe wywiad z „dewizówką”, oburzają się jeszcze bardziej. Ale jednocześnie wyrobili sobie jakiś pogląd na całą sprawę, bo „Skiroławki” (dwa tomy za 350 zł) zniknęły z półek księgarskich błyskawicznie. Nie sądzę, żeby stało się to jedynie za sprawą Pasenta.

Niemniej dziwię się, że Nienacki aż z taką złością przyjął krytykę, publikując nawet na łamach „Trybuny Ludu” list w tej sprawie. Reakcja wywołuje zwykle kontrakcję, ale czy nie ma innych, poważniejszych tematów?

M. A. Jaworski

ŁUDZIE - LATA - PRZEMIANY Ogólnopolski konkurs na reportaż

W ZWIĄZKU z 40-leciem PRL, Zarząd Oddziału SD PRL wspólnie z Zarządem Głównym SD PRL, Zarządem Głównym RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Towarzystwem Przyjaciół Prasy, Radia i TV w Lublinie, Urzędami Wojewódzkimi w Białej Podlaskiej, Chełmie, Lublinie i Zamościu ogłaszają ogólnopolski otwarty konkurs na reportaż z regionu lubelskiego pod hasłem: „Ludzie — lata — przemiany”.

1. Cel i założenia programowe konkursu:

Hasło i okoliczności ogłoszenia konkursu — 40-lecia PRL — odzwierciedlają podstawowe intencje organizatorów. Chodzi o uzyskanie — za pomocą metod rozpoznawania rzeczywistości właściwych reportażowi i środków podawczych określających poetykę tego gatunku — tekstów, które zrehabilitują i udokumentują losy ludzi obecnych przy narodzinach Polski, wywodzących się lub działających w regionie lubelskim.

Poprzez zapis ludzkich losów, organizatorzy konkursu pragną uzyskać wgląd w charakter procesów określających nowe jakości w kształtowaniu rzeczywistości politycznej, społecznej i gospodarczej. Także prawdziwy, nie etykietalny i nie transparentowy, obraz wyborów dokonywanych przez ludzi kształtujących nową rzeczywistość ustrojową i ludzi świadkujących zachodzącym w naszej rzeczywistości procesom. A więc chodzi nie tylko o świadectwo ludzi tworzących podwaliny ustrojowe PRL, ale także o świadectwo ludzi uwikłanych w historię przez sam fakt, że byli wówczas świadomie obecni.

Główny organizator konkursu jest ulokowany w Lublinie, a więc tam, gdzie zaczęły skutkować politycznie i społecznie decyzje i działania określające kształty tej rzeczywistości. Z uświadomienia sobie tego faktu i intencji głównego organizatora wynika więc szczególne zawężenie tematycznego obszaru konkursu. Chodzi mianowicie o ukazywanie wyżej zasugerowanych problemów w życiorysach ludzi związanych z Lublinem i Lubelszczyzną w czasie, „gdy Lublin był stolicą”. O reporterskie przebadanie ich losów w

dalszej wędrówce przez polskie drogi zarówno w przestrzeni, jak i w czasie. A więc nie miejsce zamieszkania jest dla nas ważne, lecz związek z wydarzeniami, jakie rozegrały się w Lublinie i na Lubelszczyźnie.

Organizatorzy spodziewają się, że w ten sposób możliwe będzie zgromadzenie materiału ukazującego historię w jej dynamice, w dramaturgii ludzkich losów.

Nie oczekuje się na reportaż obrazujący odcinek drogi od daty do daty; natomiast na teksty, które pokażą początki drogi, choćby ta droga wybiegała w lato o wiele późniejsze.

Konkurs ma charakter ogólnopolski i otwarty. Termin nadsyłania tekstów o objętości do 30 stron maszynopisu upływa z dniem 30 września 1984 r. Prace w trzech egzemplarzach, opatrzone godłem i zaopatrzone w kopertę zawierającą dane personalne autora, należy przysłać pod adresem: 20-950 Lublin, Al. Racławickie 1, Zarząd Oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo pierwodruku nadesłanych prac w prasie regionalnej i krajowej oraz przewidują wydanie zbioru reportaży w formie książkowej.

2. Warunki szczegółowe, nagrody:

Za najlepsze prace przyznane zostaną następujące nagrody:

| | |
|------------------------------|-------------|
| Nagroda pierwsza | 60 tys. zł. |
| dwie drugie po | 40 tys. zł. |
| trzy trzecie po | 25 tys. zł. |
| oraz pięć wyróżnień po | 15 tys. zł. |
| Razem 290 tys. zł. | |

Nadesłane prace ocenić będzie 5-osobowe jury, którego skład podany zostanie w terminie późniejszym. Jury ma prawo innego podziału nagród, jednakże bez umniejszania ogólnej sumy na ten cel przeznaczonej.

Rozstrzygnięcie konkursu i wręczenie nagród organizatorzy przewidują w grudniu br.

Czwartki Belwederskie

ROZMOWA

Z HENRYKIEM MIODUCHOWSKIM

KUSTOSZEM MUZEUM

HISTORII RUCHU ROBOTNICZEGO

IM. BOLESŁAWA BIERUTA

W LUBLINIE

MIROSLAW DERECKI: — Rozmawiamy w lokalu muzeum, w budynku przy ul. Sierociej 2a w Lublinie, gdzie mieszkał przez kilkanaście lat — od wczesnego dzieciństwa aż po dojście do pełnoletności — Bolesław Bierut. Liczył zaledwie rok, gdy jego rodzice wraz ze starszymi dziećmi wprowadzili się do suterenu w tej niewielkiej, parterowej kamieniczce Myszkowskich, stojącej na wzgórzu, niedaleko lubartowskiej rogatki, i przylegającej do terenów jednego z lubelskich szpitali. Późniejszy Prezydent przyszedł jednak na świat z dala od ulicy Sierociej. Prof. Henryk Rechowicz, autor najobszerniejszej — jak dotąd — monografii „Bolesław Bierut 1892—1956”, w ten oto sposób rozpoczyna swoją książkę: „Bolesław Bierut urodził się 18 kwietnia 1892 roku w Rurach Brygidzkowskich w pobliżu Lublina, w rodzinie Wojciecha i Marianny z domu Wojskiej. [...] Ojciec Bolesława nie pochodził z Lubelszczyzny, lecz z rejonu Tarnobrzega. Rodzinna wieś, gdzie posiadał skrawek ziemi oraz małe gospodarstwo, opuścił wraz ze swą młodą żoną w poszukiwaniu zarobków po klasie powodzi. W Rurach Brygidzkowskich nie posiadał własnego gospodarstwa, lecz utrzymywał się z pracy najemnej”.

Henryk Mioduchowski: — Może należałoby zaraz na wstępie uściślić i uzupełnić te dane. Przede wszystkim należy zdać sobie sprawę, że „Rury Brygidzkowskie w pobliżu Lublina” to obecne centrum miasta; dom, w którym urodził się Bolesław Bierut, stał w miejscu, gdzie dzisiaj wznosi się budynek hotelu „Victoria” — przy zbiegu ulic Narutowicza, Lipowej i Al. Świerczewskiego. Na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia była tutaj wieś Rury, granicząca z miastem. Stąd — zachowane do dzisiaj nazwy pobliskich ulic odchodzących od ulicy Narutowicza (dawnej — Namieśnikowskiej): Graniczna, Gminna. Warto też rozszerzyć wiadomości o pochodzeniu Bolesława Bieruta. Otóż stwierdziłem, że jego ojciec, Wojciech Bierut, urodzony w rodzinie wyrobniaka rolnego, brał udział w powstaniu styczniowym (w tym okresie najprawdopodobniej nauczył się czytać i pisać). Mieszkał z żoną we wsi Łązek Chwałowicki, przez którą środek przebiegała granica pomiędzy zaborem rosyjskim i austriackim. Gdy spłonęło jego gospodarstwo, przesiedlił się do Kongresówki, gdzie znany mu z powstania hrabia Tarnowski posiadał kilka majątków, m.in. Kępcę Kaliszańską w pobliżu Józefowa nad Wisłą. Wojciech Bierut pośredniczył w parcelacji Kępy Kaliszańskie; tam zresztą osiadł na kawałku ziemi i przemieszkał nad Wisłą dziesięć lat. Potem przyszło nieszczęście: w czasie wielkiej powodzi Wisła zmieniła koryto, pochłonęła zabudowania i załapała ziemię Bierutów. Wtedy Wojciech Bierut załadował rodzinę i resztę dobytku na wóz i przyjechał do Lublina.

M.D.: — Właściwie do przylegającej do miasta wsi — Rury Brygidzkowskie...

H.M.: — Większość zarobków Wojciecha Bieruta pochodziła z handlu wiązkami drewna do palenia w piecach. Sam karczował pnie w pobliskich lasach, rąbał i układał w wiązki, a potem zawoził towar na targ na Podzamczu. Kiedy mu konia ukradli, musiał wraz z rodziną nosić te wiązki drewna na plecach. I to najprawdopodobniej sprawiło, że postanowił przeprowadzić się bliżej terenów targowych. Z Sierociej do Podzamczu niedaleko, a z Rur trzeba było iść przez całe miasto...

M.D.: — Z tego, co pan mówi, wynika, że działalność muzeum nie ogranicza się jedynie do prac ekspozycyjnych...

H.M.: — Jak w każdym muzeum. (Jesteśmy, nawiasem mówiąc, oddziałem Muzeum Okręgowego w Lublinie). Gromadzimy i opracowujemy materiały dotyczące historii ruchu robotniczego na Lubelszczyźnie oraz działalności i życia Bolesława Bieruta.

M.D.: — Zdarzają się jakieś niezwykle odkrycia?

H.M.: — Tak. Na przykład kilka lat temu trafił do moich rąk szczególnie interesujący materiał: notes z dokładnymi zapiskami z „Czwartków Belwederskich”. Owe „Czwartki” były to powołane z inicjatywy Bolesława Bieruta posiedzenia Biura Politycznego KC PZPR oraz przedstawicieli rządu w Belwederze (gdzie mieszkał Prezydent), podczas których dyskutowano wyłącznie nad planami odbudowy i rozbudowy Warszawy. W posiedzeniach uczestniczyli najwybitniejsi polscy architekci zajmujący się odbudową stolicy; wspólnie przeglądano i omawiano opracowywane właśnie projekty architektoniczne i urbanistyczne. Tematy zebrał ustalał ówczesny Naczelny Architekt Warszawy, inż. arch. Józef Sigalin, w porozumieniu z dyrektorem Biura Urbanistycznego Warszawy, mgr. inż. Zygmuntem Skibniewskim. Niejednokrotnie tematy do rozpatrzenia ustalał sam Bierut.

Spotkania w Belwederze odbywały się zazwyczaj po oficjalnych godzinach urzędowania; niejednokrotnie rozpoczynały się późnym wieczorem i ciągnęły długo w noc. Bierutowi sprawa odbudowy i rozbudowy Warszawy leżała na sercu. Trzeba pamiętać, że już w styczniu 1945 r., gdy na posiedzeniu Krajowej Rady Narodowej, której był prezydentem, zastanawiano się, gdzie — w związku z całkowitym zniszczeniem Warszawy przez Niemców — zlokalizować stolicę kraju, Bierut opowiadał się za Warszawą. KRN podjęła wówczas uchwałę, mówiącą, że „Krajowa Rada Narodowa widzi w Warszawie stolicę niepodległego Państwa Polskiego”. Zaś 1 lutego 1945 r. Prezydium Rady Ministrów, obradujące pod przewodnictwem Prezydenta KRN, podjęło uchwałę o przeniesieniu 2 lutego 1945 r. siedziby władz centralnych do Warszawy. Zaraz następnego dnia udali się do zburozowanej stolicy: Prezydent KRN Bolesław Bierut, premier Edward Osóbka-Morawski, wicepremier Władysław Gomułka oraz większość ministrów ze swymi współpracownikami.

M.D.: — Wróćmy jednak do zapisków z „Czwartków Belwederskich”. W jaki sposób znalazły się one w pańskim posiadaniu?

H.M.: — Kilka lat temu, gdy zacząłem zbierać materiały dla powstającego Muzeum im. Bolesława Bieruta, odwiedziłem m.in. w Warszawie Wandę Górską, byłego dyrektora gabinetu Prezydenta. Był to czas, gdy w związku z wiekiem i pogarszającym się ciągle stanem wzroku, zdecydowała się ona na przeprowadzkę do Domu Weterana. Może dlatego właśnie Górską tym bardziej cieszyła się, że może przekazać naszej placówce szereg dokumentów ze swego prywatnego archiwum. Wśród licznych papierów znajdował się notes w czarnej oprawie, w którym — na kratkowanym papierze — jego właściciel niezwykle sy-



Fot. W. Stępień

stematycznie notował rozmowy prowadzone w czasie „Czwartków Belwederskich”. Na podstawie tych notatek opracowywano później oficjalne protokoły. Po śmierci Bieruta autor notatek przekazał notes Wandzie Górskiej i w jej mieszkaniu przeleżał on następnie niemal dwadzieścia lat.

M.D.: — Kto był właścicielem notesu?

H.M.: — To właśnie dopiero musieliśmy ustalić. Wanda Górską nie pamiętała tego człowieka. Początkowo sądziliśmy, że notes należał do Naczelnego Architekta Warszawy, Józefa Sigalina. Wreszcie stwierdziłem, że protokołował stale inżynier architekt Jan Pelka, ówczesny wicedyrektor Biura Urbanistycznego Warszawy. Rozmowy, toczone się pomiędzy członkami Biura Politycznego, rządu PRL oraz architektami, notował on zwykle na luźnych kartkach, a następnie te notatki przepisywał do notesu. Pierwsze spotkanie z architektami Warszawy jest zaprotokołowane przez inż. Pelkę pod datą 22 listopada 1951 r., a ostatnie zapiski sporządził on 21 maja 1954 r. W wiele lat później mnie właśnie przypadło w udziale opracowanie i przygotowanie owych posiadających prawdziwą wartość historyczną zapisków — do druku.

M.D.: — Jak wyglądały dyskusje podczas „Czwartków Belwederskich”?

H.M.: — Weźmy dla przykładu protokół z trzeciego czwartkowego spotkania, z 6 grudnia 1951 r. Rozpoczęło się o godzinie 18.00 a uczestniczyli w nim — „Obecni: ob. Prezydent, ob. Premier, min. Berman, min. Piotrowski, Wolski, Zakowski, Jędrzychowski, Albrecht oraz (architekci — MD) Sigalin, Skibniewski, Brukalski, Zachwatowicz, Biegański, Pelka.

Temat: Stare i Nowe Miasto. Materiały, urbanistyka, architektura (projekty), model. Referuje prof. Zachwatowicz.

Ob. Prez[ydent]: „Zachować ciąg dalszy w nowe czasy, powiązać „wczoraj i dziś”. Nie należy iść po linii najmniejszego oporu. Zagadnienie za- bytków należy nie tylko „oprawić”, lecz i powiązać z całością. Będzie to miało cele dydaktyczne, wprowadzić w teraźniejszość, wówczas nie będzie w oderwaniu. Sylwetkę i elewację od strony Wisły należy zachować w stylu St. Miasta. Elewacje nie posiadające wartości, nie będąc dziełem sztuki, zwłaszcza w uliczkach drugorzędnych — modernizować od strony użytkowej. Niekoniecznie wszystko trzeba zachowywać, owszem — jeżeli jest cel i sens. Użyteczność publiczna — plus mieszkania. Nowe pokolenia powiedzą, że nie potrafiliśmy wyjść dalej od naszych przodków. Barbakan, mury, nisze, to był cel ok. 200—300 lat temu; a dzisiaj — jaki? Przecież my się nie potrzebujemy bronić. Zachować to, co zostało — dla historii. Nie odtwarzać tego, czego nie ma, bo to nie będzie prawdziwe, jest to nawet niemożliwe. Tędy nawet dorożka nie przejedzie (Barbakanem). Wprowadzić, połączyć z dzisiejszym miastem — zielenią; przykład Krakowa. Sam rynek — odtworzyć.

Ob. Premier i min. Berman podtrzymują wypowiedź ob. Prezydenta. „Zamek jest przytłoczony, jest to majestat R.P. — podnieść monumental-

ność, żeby górował sylwetką. Nie krępować się istniejącą — posunąć rekonstrukcję — tak zresztą czynili nasi przodkowie, wkładając po pożarach nowe myśli. Jeśli nie wnieśliśmy nic nowego — powiedzą nowe pokolenia — żeśmy nie umieli, a my mamy budować lepiej i piękniej. Winien to być gmach, który będzie uwiecznieniem otoczenia, nawet przy zmienionej strukturze, w nawiązaniu do starego Zamku”.

M.D.: — Barbakan jednak zrekonstruowano. A także część murów starej Warszawy. Co się zaś tyczy Zamku, to sprawa przystąpienia do jego odbudowy przebiegała na początku lat siedemdziesiątych...

H.M.: — Bierut nie upierał się, nie stał sztywno przy swoich poglądach, słuchał rzeczowych argumentów. Co się zaś tyczy Zamku Królewskiego, to jest to już zupełnie inna historia, i to nie Bierut przeciwstawiał się jego odbudowie w późniejszych latach.

Podczas „czwartkowych” spotkań zdarzały się spiecia pomiędzy dyskusyjantami, dyskusja stawała się nieraz gorąca. Prezydent jednak — jak widać z notatek inżyniera Pelki — potrafił zawsze wyprowadzić ją na właściwe tory. Przy ocenie poszczególnych projektów — oprócz walorów artystycznych — kierował się zasadą zdrowego rozsądku oraz liczył się z realnymi możliwościami finansowymi, na jakie stać kraj, który dopiero dźwiga się z ruin. Np. 7 lutego 1952 r. dyskutowano na temat architektury i urbanistyki śródmieścia. Obecni byli „ob. Prezydent, ob. Premier, ob. v-prem. Jędrzychowski, min. — min. Berman, Zambrowski, Mazur, Nowak, Ochab, Piotrowski, Zakowski, K.W. — ob. Włcha, dyr. Drozdowicz, inż. inż. Sigalin, Skibniewski, Stępieński, Pelka, Giejsztor, Koziański, Jankowski, Knote, [...]”

Ob. Prez.: — Nie widzę szczególnej potrzeby, żeby zagęszczać tę dzielnicę w stosunku do innych. Można bronić, żeby nie było (to zagęszczenie) większe. Zagęścimy do śródmieścia zagęszczenia miasta. Tu jest jednak środek miasta i winien on być porównywanym z innymi dzielnicami miasta. My tu wprowadzamy więcej powietrza niż było przed wojną, wprowadzamy nowe trakty uliczne, rozpiętość tego przejścia jest większa niż N. Świat, będzie tu troszeczkę zieleni. Sytuacja się pod tym względem polepszy. To wszystko powinno być brane pod uwagę z punktu widzenia zdrowotności mieszkańca. Po drugiej stronie mamy b. znaczne rozluźnienie. [...] Ten dziedziniec można i należy traktować jako skwer wewnętrzny dla przedszkola. Mało mamy takich miejsc w mieście. [...] Mam te same wątpliwości co w zeszłym tygodniu: puste tereny. Zieleni jest za dużo; zieleni słusznie „przeskakuje” nad Wisłę, ale tu nie jest ona potrzebna, a tracimy tereny na zabudowę. Ja liczę, że Warszawa będzie rozbudowywała się i może nam zabraknąć terenu. Warszawa będzie musiała rozwijać się na peryferie, rozciągając się na miasto bardzo kosztowne. Pewna ilość mieszkańców — ciągle w ruchu. Staniemy (wtedy — MD) wobec konieczności budowy w naszych parkach i wyburzenia małych budynków, bo będzie ciasno, a w śródmieściu luźno. Mieszkańcy będą krzyczeli, że na peryferiach ciasno, a w śródmieściu luźno. Słusznie poszliśmy w kierunku rozluźnienia, dyktowanego obecną teorią wprowadzenia powietrza w centrum miasta, ale nie stwarzamy sytuacji sztucznej.

Albo znowu — zupełnie inny w nastroju — fragment dyskusji z 7 czerwca 1952 r., gdy omawiano architekturę MDM-u oraz zastanawiano się nad nazwą centralnego placu tej dzielnicy: „[...] Ob. Prez[ydent]: Nazwa — może: „Plac Pokoju”, „Konstytucji”, „Młodzieży”...

Min. Ochab: — Partia jest za „Placem Bieruta”.

Ob. Prez.: — E! Tu nigdy nie mieszkał i nie będzie mieszkał, ja wolę „Pokój” lub „Konstytucję”. Mamy uchwałę, że żyjącymi nie wolno nazywać. Jak umrze — to będziecie nazywali, jak chcieli. No dobrze, to odłożymy tę sprawę na parę dni. [...]”

Niezwykle gorąca była dyskusja 16 czerwca 1952 r. Wywołała ją wystąpienie młodego architekta Goltzanta, krytykującego założenia urbanistyczno-architektoniczne terenów śródmieścia, znajdujących się w rejonie wzniesionego właśnie Pałacu Kultury i Nauki. Swoją długą wypowiedź inż. Goltzant kończył słowami: „[...] Spotkałem się z uwagą, że PKiN nosi cechy

Dokończenie na str. 4

Czy kolorami mówić, czy pisać...

Małgorzata Kitowska

I nie wiem, co lepsze, czy przypaść do tej ścierni, czy kolorami mówić, czy pisać jak najwierniej.

PÓLWIECZE istnienia „Kamena” skłania do wspomnień. Wiele już uwagi poświęcono ludziom związanym z początkami i rozwojem pisma. Stale jednak w cieniu postaci KAJ-a pozostaje nazwisko Zenona Waśniewskiego. Współorganizator, skarbnik i administrator pisma, był przecież także samodzielnym i oryginalnym twórcą: literatem i plastykiem; poetą, lecz także malarzem i grafiką.

Urodził się Waśniewski w roku 1891 w Tarnowie. Pochodził z rodziny ziemiańskiej. Prawdopodobnie, ulegając naciskom podyktowanym ambicjami rodziców, ukończył szkołę realną w Krakowie. Następnie, w roku 1910, rozpoczął studia architektoniczne na Politechnice Lwowskiej.

Niewiele wiadomo o jego dzieciństwie, o latach szkolnych i studenckich. Raczej z materiałów pozostawionych przez innych, jego znajomych, dowiadujemy się czegośkolwiek, niż od niego samego. W okresie studiów poznał np. Zenon Waśniewski Brunona Schulza, wówczas także adepta architektury. Nie zawarli jednak wtedy bliższej znajomości. Żaden z nich nie wiedział też, jak bardzo podobnie potoczą się ich dalsze losy. Na razie wzajemne kontakty (odnowione po latach przez — już wówczas — współzałożyciela „Kamena”) ograniczały się do „asystowania”, jak niezbyt jasno nazwał to wiele lat później Schulz, kiedy pisał w jednym z listów do Waśniewskiego: „...przypominam sobie doskonale, żeście mi nieraz asystowali”. Słabo jednak pamiętał, jakiego rodzaju człowiekiem był jego dawny kolega; pisał kiedyś inndziej: „czyście taicy zostali? A może to tylko budowa Waszych brwi i oczu sprawiła tę jakąś słowiańską, łagodną ponurość?”. Czy mówił o „płowej i słowiańskiej” duszy Waśniewskiego, naprawdę odgrzebując w pamięci wspomnienia, czy też rekonstruował ów obraz na podstawie fotografii, którą właśnie otrzymał?

Obaj — Schulz i Waśniewski — studiów nie ukończyli. Wybuchła wojna. Waśniewski został powołany do wojska przez władze austriackie. Do 1918 roku pełnił służbę pozarfrontową, po czym został zdemobilizowany. Wracając w rodzinne strony, na krótko zatrzymał się w Krakowie, gdzie — dzięki przygotowaniu, jakie dały mu pierwsze lata studiów architektonicznych — otrzymał pracę przy odnawianiu fresków na Wawelu. Pódezas pobytu w Krakowie zetknął się z Fałatem, który zachęcał go do studiów w Akademii Sztuk Pięknych. Waśniewski zdecydował się na ów krok i prawdopodobnie w 1919 roku zdał egzamin wstępny. Nie został jednak przyjęty, gdyż Józef Mehoffer, ówczesny rektor akademii, po obejrzeniu przedstawionych prac stwierdził, że Waśniewski ma już „swoją manierę”. Jeśli na podstawie prac późniejszych (ocalałych w zbiorach rodzin-

ny) można osądzić charakter tych, które zaprezentował na egzaminie, były to prawdopodobnie akwarele o — bardzo przez Waśniewskiego lubianej — tematyce pejzażowej, malowane to nieco impresjonistycznie, to dywizjonistycznie, niejednokrotnie zaś operujące nie uporządkowanymi, swobodnie rozlanymi plamami, pełne zacieków i płynnych zalewów. Może właśnie dlatego zyskały aprobatę i zachwyty Fałata?

Po tej nieudanej próbie podjęcia studiów plastycznych, Waśniewski spędził cały wolny czas, malując i rysując dla siebie, z wewnętrznej potrzeby i dla własnej satysfakcji. Po krótkim czasie raz jeszcze usiłował studiować; chciał ukończyć Politechnikę Lwowską. I po raz wtóry wypadki dziejowe — tym razem wybuch powstania ukraińskiego we Lwowie, kiedy to uczelnia zamieniona na szpital — uniemożliwiły dalszą naukę pechowemu studentowi. Zenon Waśniewski zrezygnował z edukacji i wyjechał do Radzyna. Tutaj, chyba po raz pierwszy i ostatni, wykorzystał wiedzę z dziedziny architektury, przez krótki czas pracując w budownictwie wojskowym. Uczył ponadto w miejscowym prywatnym gimnazjum. Był to niejako punkt zwrotny w jego życiu. Od tego momentu praca nauczyciela rysunków stała się dlań zawodem.

Wykonywał ją Waśniewski także w Chełmie, dokąd w 1921 roku — po dwuletnim pobycie w Radzynie — przeniósł się wraz z młodszą żoną, Michaliną z Ryzińskich. Uczył w Seminarium Nauczycielskim i Liceum Pedagogicznym. Tutaj, w chełmskim środowisku nauczycielskim, znalazł kilka osób, z którymi mógł się porozumieć w sprawach własnej twórczości, zarówno plastycznej, jak i literackiej. Zaczął bowiem dorywczo pisać teksty oryginalne i tłumaczyć utwory autorów obcych, a stale uprawiał malarstwo i zajmował się rysunkiem. Pisał „wiersze oryginalne, głównie dla siebie”, jak wspominał potem jego znajomi z tych lat; jednakże wiele z tych utworów znalazło później miejsce w „Kamieniu”. Malował przede wszystkim pejzaże, rysował portrety i karykatury, podobizny swych znajomych i przyjaciół. Podaje Kazimierz Andrzej Jaworski, że Waśniewski „...szybko i niedbale kreślił karykatury kolegów i kilkoma pociągnięciami ołówka osiągał zdumiewające podobieństwo”. Mówiono, że „pracowity, uczynny, łatwo entuzjazmujący się, choć na pozór zamknięty w sobie i milkliwy, był dowcipny i miał poczucie humoru...”. Zawsze jakimś zabawnym spostrzeżeniem i szepcącym [...] ze śmiertelną powagą [...] dowcipem potrafił rozwiać panującą nudę”. Był miłośnikiem dobrej literatury i stale uzupełniał własny księgozbiór. Miał przyjazny stosunek do młodzieży i lubił z nią pracować; razem z KAJ-em przygotowywali w szkole przedstawienia teatralne, do których Waśniewski projektował dekoracje.

Rok 1931 przyniósł wydany w Warszawie „Wybór poezji” Jesienina w przekładzie Jaworskiego, z okładką linorytowa Waśniewskiego. Była to, jak się wydaje, pierwsza praca graficzna tego artysty. Dała początek serii linorytów dla „Kamena”, której założenie prawdopodobnie już wówczas planowano. Myśli tę zrealizowano dwa lata później. Redaktorem naczelnym został Jaworski, a Zenona Waśniewskiego mianowano skarbnikiem, administratorem, „wydawcą”. Został też redaktorem grafiki; projektował okładki czasopisma, a także wkładki linorytowe do niemal każdego numeru. Zdobił ponadto publikacje ukazujące się w ramach tw. Biblioteki „Kamena”; były to zwykle tomiki z utworami przede

wszystkim poetów rosyjskich (Blok, Pasternak), głównie tłumaczonych przez Jaworskiego.

W tym właśnie czasie odnowił Waśniewski swą znajomość z Schulzem. „Kamena” poszukiwała współpracowników, a Waśniewski przypomniał sobie kolegę ze studiów, który pisywał „od zawsze”, a od niedawna też publikował w czasopiśmie literackich swoje trochę niesłychane dla przeciętnego czytelnika opowiadania. Postanowił doń się zwrócić. Tym bardziej, że pisarz został właśnie zauważony przez szersze kręgi dzięki wydaniu „Sklepow Cynamonowych”. Schulz przypomniał sobie i koleś Waśniewskiego, dawną z nim znajomość, wspomniawszy wspólny los obu artystów: te same studia, jednakowo nie ukończone, ten sam nie lubiany i niewystarczający zawód nauczyciela rysunków w prowincjonalnej szkole, podobne zainteresowania literaturą i sztuką. Jego nieustanna potrzeba zyskiwania nowych przyjaciół, słuchaczy cierpliwych, gotowych wysłuchać i pomóc, kazała mu na list Waśniewskiego odpowiedzieć. Do Tadeusza Brzy pisał tak jednocześnie: „potrzebny mi towarzysze. Potrzebna mi jest bliskość pokrewnego człowieka. Pragnę jakiejś porę i świata wewnętrznego... Wciąż tylko trzymać go na własnej wierze, dźwigać go wbrew wszystkiemu siłą swej przekory — jest trudem i udręką Atlasa”.

Znalazł Schulz w Waśniewskim towarzysza, ale chyba nie przyjaciela. Mimo podobnych faktów biograficznych, zbytnio różnili się między sobą. I — jak pisze Ficowski w opracowaniu korespondencji obu artystów — „pewien konwencjonalny dystans przetrwał do końca, o czym świadczyć może choćby taki szczegół, że Schulz zawsze (prawie zawsze — M.K.) zwracał się do Waśniewskiego per »Wy«, której to formy nigdy poza tym nie stosował w swych listach. Gdyby więc nie egotyzm Schulza i poszukiwanie oparcia, każące mu zwierzać się każdemu chętnemu słuchaczowi — mielibyśmy tu do czynienia z listami jałowymi treściowo, zdawkowymi. Tak, na szczęście, nie jest”. Dzisiaj jest rzeczą niemożliwą stwierdzenie, czy tak się zdarzyło tylko dzięki Schulzowi: wszystkie listy Waśniewskiego doń skierowane zostały zniszczone wraz z prywatnym archiwum tego ostatniego, podczas pożaru jego domu w Drohobyczu, po zajęciu miasta przez Niemców w czasie ostatniej wojny. Waśniewski natomiast „odziedziczył” po Schulzu kilka kartek i listów, a w nich opinie o swych pracach, które pisał autorowi „Sklepow Cynamonowych” do oceny, rękopis „Drugiej jesieni”, opowiadania, które po raz pierwszy drukowane były na łamach „Kamena”, a także dwa „rysunkielki ołówkiem” z dedykacją dla siebie. Owa dedykacja była, być może, dowodem zacieśniania się znajomości: biegł czwartą rok okresowo przerywanej, a teraz — w 1938 r. — wznowionej korespondencji; Schulz tytułował już adresata per „Drogi Zenonie”, być może w poczuciu winy z powodu niedoszedłego spotkania w Zakopanem, na którym obu artystom zakazało.

Umawiali się na to spotkanie przez całego lata, od pierwszych listów. Waśniewski nigdy nie pojechał do Drohobycza, chociaż Schulz zapraszał go wielokrotnie; sztykował

się sztykował do Zakopanego, sztykował się obaj. Aby się spotkać, zobaczyć, aby porozmawiać. Schulz obiecywał, że pozna Waśniewskiego z tamtejszym środowiskiem artystycznym, pomoże nawiązać kontakt z Witkacym. Waśniewski zaś miał Schulza nauczyć sztuki drzeworytniczej; „dużo dalbym, aby się nauczył sztuki drzeworytu” — napomknął kiedyś w liście autor „Xięgi Białochwalcznej”, a potem, tuż przed planowanym wspólnym wyjazdem, przypomniał swemu koleśce z „Kamena”: „nie zapomnijcie o przyborach do drzeworytu”. Prawdopodobnie rzecz miała się dokonać latem 1935 r. Waśniewski dojechał do Zakopanego pełen nadziei. Schulz był tam też. Do spotkania jednak nie doszło. Go odwiedzenia znajomości także, ponieważ Schulz znajdował się w stanie rozstroju nerwowego z powodu — jak pisze Ficowski — „rzekomego zerwania z narzeczoną”.

Korespondencja urwała się. Obaj adresaci zamilkli teraz na dwa lata. Po tym okresie wymienili między sobą jeszcze kilka listów, po czym wymiana korespondencji zakończyła się w roku 1938, tuż przed wyjazdem Schulza w wymarzoną podróż do Paryża. I tutaj trafiamy na jedną jeszcze zbieżność między pokretnymi losami obu artystów: łączyły ich także nie zrealizowane podróże po świecie. Co to bowiem była za podróż do Paryża, którą Schulz odbył w owym 1938 roku? Tydzień pobytu w „kulturalnej stolicy” Europy i powrót. A wojaże Waśniewskiego? „Serdecznie cieszę się, że Wam się kroi jakiś mały wyjazd do Włoch. Należy Wam się od dawna, takimi entuzjastycznie piękna!” — pisał do Schulza w czerwcu 1934 roku. I ta podróż pozostała jedynie w sferze planów. Przyczyny były, zdaje się, prozaiczne: te same, z powodu których Schulz sam nie mógł w tej eskapadzie wziąć udziału; pisał na ten temat w liście: „co do mnie, nie ma mowy, żebym się przylączył. Moje pensja wynosi 240 zł”. W ten oto sposób musieli obaj pozostać tam, gdzie byli, i robić to, na co ich los skazał, a na co wcale nie tak bardzo mieli ochotę. Waśniewskiemu po paru latach pobytu w Chełmie nie wystarczało już tamtejsze środowisko, chociaż wokół „Kamena” działał się więcej niż poprzednio. A jednak uciekał w mały, intymny świat własnych wyobrażeń, którym realny kształt nadawał za pomocą pędzla, ołówka lub ryłca. Podobnie rzecz miała się z Schulzem, uwikłanym w obowiązki szkolne i rodzinne, które zmuszały go i dopinguowały do tworzenia w swych opowiadaniach świata niecodziennego, a które jednocześnie mu w tym tworzeniu wydatnie przeszkadzały.

Wymianę korespondencji, a w niej poglądów na życie i nierządno na sztukę, zakończyli artyści ostatecznie w roku 1938. Prawdopodobnie wówczas też Waśniewski został przyjęty do Związku Artystów Plastyków. Rok później rozpoczął się wojna.

W październiku 1942 roku za pracę konspiracyjną w Armii Krajowej aresztowano Waśniewskiego. W listopadzie tego samego roku Bruno Schulz został rozstrzelany na drohobyckiej ulicy przez Niemców ze stacjonujących w mieście gestapo. Obu więc artystów jesienią 1942 roku przyniosła wydarzenia, które były tragiczne w skutkach. Schulz poniósł wówczas śmierć. Dla Waśniewskiego rozpoczął się schyłek; nie były to dni darowane, które mógłby się cieszyć. Przeżył Schulza zaledwie trzy lata; spędził je w Lublinie — jako więzień Zamojski — a potem w obozach koncentracyjnych — na Majdanku, w Oświęcimiu, w Branleburgu, w Bergen-Belsen. Zginął prawdopodobnie w Bergen-Belsen zmarł z wycieńczenia w kwietniu 1945 roku, na krótko przed wkroczeniem wojsk alianckich.

(Dokończenie nastąpi)

Czwartki Belwederskie

Dokończenie ze str. 3

regularności, należy więc stworzyć wokół nich przeciwwagę do tego założenia. Pomnik przyjaźni jest przebiegiem jednej zabudowy od drugiej. Kolejny, dający do takiej przeciwwagi, ulegają naciskowi ideologicznemu wroga. Jednolitość kompozycji ma podłoże polityczne. Konkurs — jest konkursem architektonicznym na przygotowanej placce, a winien się stać szerszym problemem pod kątem stworzenia jednolitej kompozycji podporządkowanej PKiN. [...] Sprawa przeobra-

żenia miasta i niedostosowanie się do niego PKiN będzie błędem, przeciwnie: pod przewodnictwem dominandy ideologicznej — godna jest wizja rozszerzająca konkurs”.

W dyskusji Bierut stwierdził m.in., zwracając się do inż. Goltzama: „Wy nam nie sugerujcie politycznych i ideologicznych argumentów, polityki antyradzieckiej, bo ona przez nas nie będzie przyjmowana. Możecie mówić tylko o argumentach rzeczowych”.

Kończył zaś Prezydent ową dyskusję słowami:

„[...] Do przyjęcia decyzji powinniśmy podchodzić z jak największym przygotowaniem, z przyłączeniem z całego kraju ludzi do dyskusji, do wspól-

udziału projektu Warszawy — wszystkich specjalistów; jest to celowe i słuszne. Gdybyśmy inaczej postępowali — rozbilibyśmy szkodę. [...] Powrót do dyskusji jest celowe. Powinniśmy polecić Min. Miast i Os. [i edl], żeby zorganizowało możliwość szerokiej dyskusji. [...] Decyzje — nie uważamy, żeby były niezmiennymi (niezmienne) — MD), możemy 5 razy zmieniać i każda następna będzie słusniejsza. Stosunek PKiN jest nowością urbanistyczną Warszawy i jest tego typu monumentalny, że wymaga poważnie rozważenia urbanistyki Warszawy. Rozszerzenie konkursu, żeby objął inne elementy, które nie są praktycznie budowane, jest wnioskiem celowym; nie wypowiadając naszej decyzji, co jest słuszne, a co niesłuszne”.

To tylko nieliczne fragmenty z notatnika inż. Pelki. Wszystkie protokółowe zapiski zajmują 40 stron maszynopisu. Całość notatek stanowi cenny materiał dla historyka architektury, u-

działu projektu Warszawy — wszystkich specjalistów; jest to celowe i słuszne. Dla przeciętnego czytelnika.

M. D.: — Należy więc przypuszczać, że te materiały znajdują się pewno w jego wydawnictwie. Wracając do czasu teraźniejszego: jakie problemy nurtują na co dzień kuratora Muzeum im. Bolesława Bieruta w Lublinie?

H. M.: — Sprawy oczywiste, ale — jakże nieraz trudne do wprowadzenia w czyn! Umieszczenie na hotelu „Victoria” tablicy, że w tym miejscu stał niegdyś dom, w którym urodził się pierwszy Prezydent Polski Ludowej Oraz rzecz, o którą się od dłuższego czasu bezskutecznie dobijam: problem zabezpieczenia i odnowienia znajdującego się na cmentarzu na Kalinowskiej gruby ojca Prezydenta Krajowej Rady Narodowej — Wojciecha Bieruta. Mamy muzeum, ale niech jakieś miejscowe materialne dowody powiązają rodziny Bieruta z Lublino — nie idą w zapomnienie.

Izaak Babel (1894 - 1941)

U RODZIŁ się 1 (13) lipca 1894 r. w Odessie, w kupieckiej rodzinie żydowskiej. Do 16 roku życia na żądanie ojca — jak sam później napisze — wkuwał hebrajski i biblia. Później w szkole religijnej. Później, uczęszczając do odeskiej szkoły handlowej, ten lekki, chorowity, ale zdolny chłopak miał możliwość (w głównej mierze dzięki panu Vadaun, nauczycielowi języka francuskiego) poznać język i literaturę francuską. Swe pierwsze opowiadania napisał Babel — jako 15-letni uczeń — właśnie po francusku.

Potem znalazł się w Kijowie, a od 1915 r. w Petersburgu. Dzięki Maksymowi Gorkiemu wydrukował w redagowanym przez niego czasopiśmie „Letopis” dwa opowiadania o tematyce żydowskiej. Gorki odegrał ogromną rolę w twórczości Babela. Za namową autora „Matki” młody debiutant pozostawił „między ludzi” (1917—1924). W ciągu tych siedmiu lat był żołnierzem, służył w Czerwonej Armii, w Ludowym Komisariacie Oświaty, w ekspedycjach żywnościowych (1918), w armii walczącej z Judeniczem, w Armii Konnej, był działaczem politycznym i redaktorem w Odessie, reporterem w Petersburgu i Tyflisie... „Dopiero jednak — pisał — w 1923 r. nauczyłem się wyrażać swoje myśli jasno i niezbyt rozwlekle”. Rok 1924 przynosił Babelowi kilka opowiadań (m. in. „Sól”, „List”, „Smierć Dolguszowa”, „Króć”), wydrukowanych na łamach czasopisma „Lef”, którego redaktorem był W. Malakowski.

Doświadczenia życiowe na polach wojny domowej i wojny z 1920 roku miały dla twórczości Babela bodaj największe znaczenie. Znajdują one odbicie w drukowanym na łamach gazet od 1923 r. cyklu opowiadań „Armia Konna”. „Konarmia” (1926). Jednocześnie zgłaszał Babel utwory nawiązujące do barwnego knajacko-bandyckiego folkloru przedmieść Odessy („Opowiadania odeskie” 1931). Motywy do nich czerpał pisarz z własnych doświadczeń i obserwacji, a głównym bohaterem uczynił herosa bandytów, Benie Krzka — „króla Odessy”. O postaci tej traktuje także sztuka „Zmierzch” (1928) i scenariusz filmowy „Benia Krzyk” Wymienimy jeszcze poświęconą M. Gorkiemu autobiograficzną „Historię mojego gołębnika” (1927), sztukę „Maria” (1933) i scenariusz filmowy „Błądne gwiazdy” (1936).

Twórczość Babela, operująca kontrastami, dramatycznymi starcami, drapieżnym skrotem, zastępowała głównie, mając wiele przekładów, „Armia Konna”, niesłychanie skondensowanym obrazem rewolucyjnego pochodzenia. Podobno Babel mówił, że nie potrafił zmyślić: Na mojej tarczy wyrzeźbiona jest dewiza — „prawdziwość”.

„Armia Konna” zjednała Babelowi tytuł entuzjastów, co przyczyniła wrogów. Znakomity pisarz radziecki Konstanty Fiedin pisał do Gorkiego 18 lipca 1924 r.: „W Moskwie

szumi ostatnio Babel... Z powodu niego wszyscy są w zachwycie”. Z kolei Aleksander Woronski, redaktor „Kraśnoy Nowi”, gdzie Babel drukował fragmenty „Armii Konnej” wspomina je najcięższymi zarzutów przysłowi mu uszyścić „od niektórych wybitnych wojskowych Armii Czerwonej”. „Pisarza obwiniano, że w miniaturach przedstawiona jest die Armia Konna, ale prawdziwa machnowszczyzna, że miejscami jest to parsknięcie szczereństwo na Konarmię, że tak może pisać c naszel armii tylko białogwardysta i świadomy kontrrewolucjonista itd.” Woronski był zresztą jednym z pierwszych „brońców” Gorkiego z samym Siemionem Budińnym, dowódcą Armii Konnej.

Na Pierwszym Zjeździe Związku Pisarzy Radzieckich (1934) Babel nazwał siebie „wielkim mistrzem milczenia” ponieważ pisanie przychodziło mu z coraz większym trudem, drukował mało, szukając się dopiero do nowych zadań pisarskich 15/maja 1939 r. został aresztowany.

Z oficjalnego zawiadomienia władz, przesłanego rodzinie Babela, wynika, że zmarł on 17 marca 1941 r. W 1936 r. pisarza zrehabilitowano.

Jan Trochimiak

Z listów do przyjaciół

Pod takim tytułem radzieckie czasopismo „Znamja” (1964, nr 8, s. 146—165), organ Związku Pisarzy ZSRR, opublikowało korespondencję Izaaka Babela, przygotowaną do druku oraz opatrzoną komentarzami przez L. J. Liwskiego. Dla potrzeb „Kamena” wyboru i tłumaczenia dokonał Jan Trochimiak. Skróty oznaczone: (...) oraz komentarze pochodzą od wydawcy radzieckiego.

Do D. A. Furmanowa¹⁾

Moskwa, 4 II 26

Drogi wujku Mitfaj. Wysyłam „Armię Konną” w poprawionej postaci. Przenumerowałem rozdziały i zmieniłem tytuły niektórych opowiadań. Wszystkie twoje wskazówki przyjąłem, aby się nimi kierować i wykonać je, zmiany nie dotknęły tylko „Pawliczenki” i „Historii jednego konia”. Nie przychodzi mi do głowy, czym można zastąpić „zaskarżone” frazy. Dobrze byłoby je pozostawić w „pierwotnym stanie”. (...) Niebezpieczne miejsca wyrzuciłem, nawet ponad normę, np. w „Cześnikach” i tak dalej. (...)

3) O spotkaniach i przyjaźni Babela z Furmanowem zob. książkę tego ostatniego „Lz dniewnika pisateľa” OGIZ, 1934, s. 80—85. Furmanow faktycznie był redaktorem pierwszego wydania „Armii Konnej”. Już 6.12.24 r. Babel pisał do niego: „Rekopis trochę poprawiam, poza zdjęciami Kozakami pojawił się tam także spokojni ludzie”. W sierpniu 1925 r. na prośbę Furmanowa Babel prowadził rozmowy o ekranizacji „Czapajewa”. [Autorem tej powieści był Furmanow — dop. J. T.].

Do A. G. Słonim¹⁾

(...) Cóż powiedzieć o Paryżu? W dobrych swoich chwilach odczuwam, jaki on jest przepiękny, a w złych chwilach wstydy się, że dusza i zadyszka zasłaniają mi przepiękne, lecz obce po trzykroć obce życie. Czas by i mnie wyposażyć się w oczy. Jednak pod wieloma względami prześwietlenie mózgu bywa tutaj rażące i bardzo często, niestety, penible.

Życie prowadzi najprostsze — piszę, w kawiarni „nasiadając” nie mogę więcej niż za trzy franki, pieniędzy mało, bawić się nie ma za co, pieszo chodzę po ulicach Paryża i przyglądam się. Starzych znajomych lekceważę, nowych nie szukam. Spać kładę się o jedenastej, a i to wychodzi, że za późno, bo na naszej uliczce o dziesiątej wieczorem nie można znaleźć ani jednego oświetlonego okna. Kuszające, według mnie, w takim życiu jest mało, można mówić zaledwie o pożytecznym. W istocie rzeczy — trzeba odpokutować i trzeba cierpieć. Ale dobrze jest cierpieć Kozakowi, który liczy, że zostanie atamanem, lecz za co ma cierpieć Kozak, który nie liczy, że zostanie atamanem? Otóż właśnie — nie liczę... (...)

Wasz kochający Was Babel
Paryż, 4 X 37

nowela („Jewriejka”). Nowela pozostała niedokończona, rękopis zachował się w rodzinie Słonimów.

2) W latach 1927—1928 Babel mieszkał we Francji.

3) Ciężkie (fr.).

Do B. B. Sosińskiego¹⁾

(...) Przeczytałem Pańskie opowiadania. Według mnie, ma Pan to, co się nazywa talentem literackim, lecz mało samodzielności. I nad językiem trzeba pracować więcej, niż Pan to czynił dotychczas. Trzeba bardzo pilnować tego, aby nie zaśmiecać języka zwrotami obcojęzycznymi, wytartymi frazami, niesmacznymi przyimownikami. Zresztą nie ośmielam się dawać rad. Szczerze mówiąc, sam mam we wszystkim wątpliwości. Talent jest to zapewne połączenie niezmodowanych mózgow, czujnego serca i maestrii. Gdyby rozwijał jeden walor ze szkodą dla drugiego, wtedy zostaje naruszona boska harmonia sztuki i literatura wychodzi marna, pretensjonalna.

Z całego serca życzę Panu, Bronisławie Bronisławowiczu, sukcesu.

Szczerze oddany Panu I. Babel
Paryż, 18 IX 27

1) Bronisław Bronisławowicz Sosiński — od 1920 r. był na emigracji, uczestnik francuskiego ruchu oporu, literat, od 1946 r. — obywatel ZSRR.

Do I. L. Liwskiego¹⁾

Moi drodzy przyjaciele i po prostu moi drodzy. Po trzymiesięcznym pobycie w Paryżu pojechałem na pewien czas do Marsylii. Wszystko to bardzo interesujące, lecz, szczerze mówiąc, do duszy mojej nie przemawia. Życie duchowe w Rosji jest szlachetniejsze. Jestem zatruty Rosją, tęsknię za nią i tylko o Rosji myślę. Pracowałem dorywczo, teraz to uporządkowałem i myślę, że czegoś będę mógł „dokonać”. Proszę sobie wyobrazić Odessę, która osiągnęła rozkwit. To będzie Marsylia. Egzotyka tutaj rzeczywiście oszalała, lecz ja już krzyknę ostyłem w stosunku do egzotyki. Proszę napisać mi o sobie. Ja o Panu pamiętam stale i myślę tak dobrze, jak tylko mogę. Pozdrowienie dla Saszy i jego rodziny. Proszę, napiszcie.

Kochający Was całym sercem

I. Babel

M(arsylia), 28 X 27

1) Izaak Leopoldowicz Liwsky (ur. 1893) — pracownik redakcyjno-wydawniczy, najbliższy przyjaciel Babela z lat szkolnych.

2) Wasiliewod Iwanow w tym samym dniu pisał do Gorkiego o Babelu: „Jemu nie chce się być egzotykiem, a pisarstwo rosyjskie trudno nie być teraz egzotykiem” (Archiw Gorkiego, KGP 30-1-23).

Do I. L. Liwskiego

10 stycznia 1928, Paryż

(...) Pierwsze miesiące mojego pobytu w Paryżu, miesiące zagospodarowywania się, nie sprzyjały, oczywiście, „na-technieniu”. Lecz pomalutku wciągnąłem się do pracy. Znowu, jak w czasach mojej młodości, zamysłam coup d'etat¹⁾ w moim pisarstwie. Zobaczmy —

czy się uda. Trochę zmęczyłem się właśnie, coup będzie trudniejszy niż pierwszy. Być może, do lata zakończę. Do zakończenia pracy nie ruszę się do Rosji. Sam wiem, że „leczenie czasem”, przedsięwzięte przeze mnie, powinno być doprowadzone do końca. O plotkarzy wszakże, których ilość i jakość są mi znane, nie martwię się — jestem odgradzony od nich niezwykłą obojętnością, to moja szczęśliwa cecha — obojętność wobec opinii publicque.

O życiu w Paryżu — cóż Wam opowiedzieć? Mimo mojej tęsknoty za Rosją, w Paryżu dobrze byłoby żyć, mając odrobinę więcej pieniędzy. Nie przywykłem do takiej skąpej egzystencji i rozwinąć skrzydeł w żaden sposób nie mogę. Bardzo mało pieniędzy — lecz tutaj do pewnego czasu nic się nie da zrobić. A kraj — choć to się może wydać dziwne — strasznie zafascynany i bardzo prowincjonalny. Życie tutaj, w sensie indywidualnej swobody, wspaniałe, lecz my — z Rosji — tęsknimy za wiatrem wielkich myśli i wielkich namiętności.

(...) O wszystkim, co w moim życiu zasługuje na uwagę, będę do Was pisał — nie zapomnijcie i o mnie. Jeśli sądzisz, że dla mnie korzystnie byłoby wiedzieć cokolwiek ponad moją „wiedzę” — napisz.

Całuję Was wszystkich

Wasz I. Babel

Paryż, 10 I 28

1) Przewrót (fr.).

Do I. L. Liwskiego

26 stycznia 1928, Paryż

(...) Książki, mam nadzieję, otrzymałem. Księgarnia poinformowała mnie, że zwłoka nastąpiła z tego powodu, że w żaden sposób nie można było dostać książki [Paul] Valery'ego. Ze snobizmu książki Valery'ego drukuje się — możesz tą sobie wyobrazić — w pięćdziesięciu czy stu egzemplarzach; robią to dlatego, żeby „czerni” nie czytała.

O mojej pracy... Jej kontury, sukces lub porażka (dla mnie) ujawnią się, myślę, za jakieś trzy miesiące. Wtedy ci szczegółowo o niej napiszę. A co teraz można powiedzieć — ciężko pracuję, powoli, z męczącymi atakami niezadowolenia.

Zdrowie zadowalające. Otrzymałem list od Gorkiego, zaprasza mnie do siebie, do Italii. Jeśli będą pieniądze — pojedę na wiosnę. „Armia Konna” wyszła w Hiszpanii we wspaniałym wydaniu i mówią, że ma tam powodzenie. To mi otwiera drogę do Hiszpanii. Do tej pory ani jednemu Rosjaninowi — ani białemu, ani czerwonemu — nie dawano wiza. Lecz na wyjazd trzeba dużo pieniędzy.

Jeśli możesz, przyslij mi dwa—trzy egzemplarze „Armii Konnej”.

(...) Gdzie czytałeś „Zmierzch”? Czyż już jest wydrukowany? Twojej pozytywnej opinii o tej rzeczy, wybac mi, nie podzielam. (...)

Twój I.

P. 26 I 28

1) „Jedyna wyniosłość, jaka we mnie tkwi, to napisać jak najmniej niepotrzebnych słów” — pisał Babel do L. L. Liwskiego. Można by dokonać więcej, niż ta robie ale jednak wydaje mi się, że moja powolna praca jest podporządkowana prawom sztuki, a nie chatury, nie próżności, nie chciwości” (list do A. G. Słonim 27.12.27).

Do A. G. Słonim

Mila Anno Grigoriewno.

(...) Wczoraj wysłałem Pani swój egzemplarz skandalicznej książki Brussona (kontynuacja wspomnień o Anatolu France) i biografię Dickensa, napisaną przez Chestertona¹⁾. Tutaj jest duża moda na biografie—powieści. Wyślę Pani jeszcze wspaniałą biografię Balzaka. Myślę, że warto przetłumaczyć ją na język rosyjski, znajduje ona wielu czytelników, a i forma niecodzienna. Z książką „London” wszystko byłoby dobrze — gdyby nie ostatnie rozdziały, gdzie mówi się o stosunku Londona do wojny, niestety był on pozytywny. Ouvrege²⁾ Brussona, według mnie, łatwo przystosować — książka pachnie brzydtko, ale jest napisana cięcie.

„Zmierzch” robi kłapę z niebywałą hańbą. Napisałem do Biersieniewa³⁾, aby przysłał Pani bilety na próbę generalną. Wiem, że będzie Pani zmartwiona tym spektaklem. Jeśli Pani zechce — proszę opisać mi swoje wrażenia.

(...) Sciskam pracowite ręce Pani mężczyzny i biję im tysiąc pokłonów.

Kochający Panią I. Babel

Paryż, 18 II 28

1) Książka J. J. Brussona, byłego sekretarza Anatola France'a, pt. „Marszruta z Paryża do Buenos Aires”.
2) Książka angielskiego pisarza i krytyka G. Chestertona pt. „Dickens” (pierwsze wyd. 1903 r.).
3) Utwór (fr.).
4) Iwan Nikolajewicz Biersieniew (1889—1951) — artysta ludowy ZSRR, a wówczas aktor, reżyser i pomocnik dyrektora MCHAT-u 2.

Do L. W. Nikulina¹⁾

Paryż, 24 II 28

Drogi Lwie Wieniaminowicz! Niech Pan będzie łaskaw pojsć na przedstawienie „Zmierzchu” i potem nie poleni się opisać tej hańby. Otrzymałem sztukę w wydaniu „Krug”²⁾. To potworne. Błędy drukarskie całkowicie wypaczają sens. Nieszczęsny twór!...

(...) Do lutego pracowałem solidnie, potem umyśliłem sobie pisać jedną, całkowicie dziwną rzecz. Wczoraj właśnie o 11 i 1/2 wieczorem stwierdziłem, że jest to zupełnie głowno i do tego gównolotne. Półtora miesiąca życia stracone na próżno. Dzisiaj jeszcze się martwię, a jutro będę myślał, że pomylki uczę (...)

1) Lew Wieniaminowicz Nikulin — pisarz, uczył się razem z Babelm w odeskiej szkole handlowej; w 1927 r. byli oni równocześnie w Paryżu.
2) I. Babel, „Zakat”, Moskwa—Leningrad, „Krug”, 1928.

(dokończenie nastąpi)

Kamena 5

SUBORDYNACJA

Janka Bryl

TRZECIEGO dnia po przeprowadzce do Mińska wypadło mi pójść do teatru. Na zaproszenie, z żoną.

Wieczór był uroczysty, z referatem i koncertem po przerwie, podczas której sala wypełniła się prawie w dwójnasób.

Na jakieś dziesięć minut przed pierwszym dzwonkiem, zajmując wcześniej miejsca, wyszliśmy z Anią do foyer. Spacerujemy, oglądamy portrety aktorów rozwieszane na ścianach, przeżywamy — można powiedzieć — wstęp do kulturalnego odpoczynku. Potem — patrz nagle — od szatni idzie w naszą stronę mężczyzna. Z żoną, w okularach i z teczką pod pachą. Patrzę i oczom nie wierzę — Zeńka Łopuch! Wierzę — nie wierzę — wierzę — on! W tym momencie zapomniałem o wszystkich konwenansach, porzuciłem Anię i — do niego.

— Zeńka! Diable jeden! Jak się masz?!
No, i chciałem go w objęcia — przecież całe osiem lat nie widzieliśmy się.

Poznał mnie jakby nie od razu. Przyjrzał mi się przez okulary, dokładnie rozpatrując zagadnienie, a dopiero wtedy i on wyciągnął rękę.

— A, Czyżewicz, witam was, witam... Moja małżonka.

Małżonka, w aksamicie z trenem i z ogromną fryzurą, dość ospale podała mi odsłoniętą do ramienia, chłodną i jakby bezsilną rękę i nieco protekcyjnie, ze zmęczeniem odśpiewała:

— Paulina Isidarauna... Bardzo mi przyjemnie... Powiedziałem także, że bardzo mi przyjemnie, a potem przypomniałem sobie o żonie. Podprowadziłem ją do Zeñki i on, dostojnie zgiąwszy się w lekkim ukłonie, burknął coś autobiograficznego. Małżonka Zeñki, tak jak mnie, podała Ani swoją rękę bez kości i z jeszcze większą pobłażliwością powiadomiła, że bardzo jej przyjemnie.

I wtedy znaleźliśmy się na dwóch przeciwnych brzegach szerokiej, głębokiej i, co najważniejsze, chłodnej rzeki.

— No więc, jak żyjesz?! — wołałem ze swego brzegu, na którym zostaliśmy z Anią.

A Zeńka odpowiadał z godnością i cicho, ale tak, że mimo wszystko slyszalem:

— Niczego sobie. Dziękuję. Jak pańskie sprawy? Nasze żony milczały i każdej z nich, szczególnie chyba mojej, chłodna rzeka wydawała się jeszcze szersza niż nam.

— A cóż to ty, Zenia zaczynasz ze mną na „pan“?! — zawołałem starając się przekazać na tamten brzeg i swój uśmiech, i całe uczucie dawnej przyjaźni.

Ale on chyba ani mojego uśmiechu nie zauważył, ani uczucia nie złowił. Rzeka zaczęła się poszerzać w moją stronę, napływając szaro-chłodnymi falami na buty i nogawki spodni, a z tamtego brzegu ledwie dobiegał głos:

— Ale... co też... pan... co też... pan...
I coś jeszcze bardziej niewyraźnego.

Uratował nas trzeci dzwonek. Już z oskómą na zębach rzuciliśmy jedni drugim „na razie“ i rozeszliśmy się.

— Jeżeli jeszcze raz pociągniesz mnie do takich nudziarzy — szeptała Ania, nie odwracając głowy w moją stronę — to ja ci podziękuję nie tak...
— No już, cicho, cicho... Potem.

W odpowiedzi usłyszałem szept wypełniony miłą dzącą namietnością:

— Lizus... nieszczęśny...
Rozpoczęła się uroczysta część wieczoru.

Na scenę weszło prezydium. Powitano je oklaskami. Potem konferansjer wymienił nazwisko prelegenta i znowu rozległy się oklaski.

„Stop, bracie! — ocucilem sam siebie. — Ogluchieł dzisiaj czy co?“

Tak, to on — do trybuny podchodził niosąc tę samą teczkę, Zeñka... Gdzie tam Zeñka — Jauhienij, i to jeszcze jak!.. Zajrzałem do zaproszenia.

„A to diabeł!.. — znów wyrwał się z duszy niesłyszalny okrzyk. — Oslepiłem chyba czy co?!..“

Niebieskimi literami na białym papierze stało w zaproszeniu: „Prelegent J. M. Łopuchau“. I rzeczywiście: J. M. — to przecież Jauhien Michajłowicz, ten sam Zeñka, a Łopuchau — ten sam Łopuch, tylko ukulturalniony.

Tymczasem Zeñka zaczął. On mówił swoje, a słuchacze — swoje; on — głośno, oni — i na sali, i w prezydium — szeptem. Większość jednak milczała, ja też należałem do niej. Zwyczajem dziennikarza myślałem najpierw o felietonie, jaki warto byłoby napisać o prelegentach, którzy potrafia pozabawić wyrazu każdy temat, każde święto... A Zeñka karmił nas wytłocznymi swojego krasomówstwa, poił przasną wodą nudy, sam zapijając to wszystko dość często — zawsze krótkim, solidnym łykiem herbaty. I oto znowu zacząłem myśleć o wynalazku, nad którym z przerwami myślałem już od pięciu lat.

Byłaby to trybuna z mechanizmem, który odmierzalby i jakość, i ilość słów referatu. Licznik — najważniejszy element w mechanizmie, który powinien mi przynieść sławę i wdzięczność rodaków — będzie sprzęgnięty z automatycznym wyłącznikiem, maksymalnie wyczulonym na słowo, na jego długość, szerokość i głębię. Gdy tylko referent zacznie, jak się to mówi, marudzić — licznik naciśnie wyłącznik, wyłącznik z kolei — wyrzutnik, i oto ku radości słuchaczy, referent zwała się na głębinowym dźwigu pod scenę, gdzie otrzymuje do wyboru wiadro wody, albo zimny prysznic — i jedno, i drugie na koszt towarzystwa upowszechniania wiedzy...

Ja myślę, a Zeñka mówi. Ale cóż to — nagle znika za trybuną! Omal nie wstałem, wyteżam uszy, w które — zda mi się — za chwilę uderzą burza oklasków. Ale nie — to z teki wyszła Zeñka kartka, upadła na podłogę. Zeñka schylił się i oto stamtąd, zza trybuny, podczas gdy prelegent zmaga się z nieposłuszną kartką, prawie całkiem wyraźnie dobiega dalszy ciąg wykładu. Z galerii, gdzie znajduje się młodzież, słychać śmiech, a potem brawa. Na parterze ożywienie. Ale Zeñka nie traci zimnej krwi — jakaś chwila uporczywości, i oto znowu grzęzną w zębach wytłoczyny, a nuda ciecze i ciecze...

W przerwie Ania zostaje na miejscu, a ja idę zapalić.

W palarni nieoczekiwanie spotykam się z Zeñką. Wypadało zatrzymać się i nawet nawiązać rozmowę. Przerzuciliśmy się jednym i drugim — w gruncie rzeczy pustym — słowem, lawirując pomiędzy „ty“ i „pan“, a potem on dość nieoczekiwanie i zupełnie zagadkowo poprosił, abym przyszedł do niego... oczywiście do pracy, pojutrze, o dziewiątej zero-zero. Następnego dnia także był dniem roboczym, jednak — pojutrze... Tak właśnie po-

Wiosna trudniejsza dla beniaminków

ROZMOWA ZE STEFANEM GRZEGORCZYKIEM REDAKTOREM NACZELNYM TYGODNIKA „PIŁKA NOŻNA“

— Redaguje pan jeden z najlepszych polskich tygodników...

— Bo ja wiem, czy jeden z najlepszych? Chcemy, żeby był dobry przynajmniej, jeśli chodzi o treść artykułów, bo np. zdjęcia znacznie różnią się od oryginałów, które posyłamy do drukarni.

— Pismo ma ściśle określony temat, ma fachowych dziennikarzy, a ludzie chcą o piłce czytać...

— Staramy się pisać o piłkarstwie trochę inaczej niż inni, czym narażamy się zresztą działaczom, trenerom, zawodnikom, a nawet kolegom po piórze.

— Dlatego „Piłkę Nożną“ się kupuje!

— Być może. My chcemy przedstawić prawdziwy obraz piłkarstwa jako zjawiska społecznego, a nie tylko zabawę pod tytułem: wygra, przegra, zremisuje. Chcemy pisać o tej rzeczywistej piłce nożnej, a to nie jest tylko boisko, dwie bramki, piłka, dwudziestu dwóch ludzi i trzech sędziów. Ma pan chyba rację, że ludzie chcą czytać

teksty o tej prawdziwej piłce, bo nakład 130 tys. egzemplarzy sprzedajemy w zasadzie bez zwrotów. Wydaliśmy też dwa kolorowe specjalne wydania „Piłki Nożnej“, jeden w nakładzie 150 tys. egz., a drugi 200 tys., które sprzedawane były spod lada.

— W tym roku będzie o czym pisać, bo sezon zapowiada się bogato. Obok rozgrywek ligowych i o Puchar Polski, czeka nas kilka spotkań towarzyskich pierwszej reprezentacji, dwa mecze w eliminacjach do mistrzostw świata, koniec eliminacji olimpijskich i — miejmy nadzieję — sama olimpiada, mistrzostwa Europy „młodzieżówki“, a na jesieni kolejna edycja europejskich pucharów. Powtórzę pytanie „Trybuny Ludu“: czy wystarczy piłkarzy?

— Twierdziłem i twierdząc nadal, że stać nas na dwie reprezentacje. Kiedy polska drużyna zdobyła złoty medal na olimpiadzie w RFN w 1972 roku, dało się słyszeć głosy, żeby sobie dać spokój z eliminacjami do mistrzostw świata, bo i tak tam nie mamy szans, a skoncentrować na następnej olimpiadzie. Co się okazało? Ze mogliśmy zdobyć trzecie miejsce na mistrzostwach świata w 1974 roku, a dwa lata później jeszcze srebrny medal olimpijski. Zresztą od tego czasu pew-

nie kwalifikujemy się na kolejne mistrzostwa świata i zdobywamy tam nie najgorsze lokaty. Teraz mówi się z kolei: zrezygnujmy z reprezentacji olimpijskiej i wszystkie siły dla Piechniczka. Nie negując faktu, że dwudziestu najlepszych piłkarzy powinno być stale do dyspozycji trenera pierwszej reprezentacji, uważam, iż dałoby się u nas zmontować jeszcze dobrą drużynę olimpijską.

— Skąd by pan wziął czterdziestu piłkarzy wysokiej klasy?

— Jest u nas chyba właśnie tylu dobrych zawodników... Gorzej, że są to w zasadzie wszyscy przyzwyczajeni do szkolenia. W Polsce młody zawodnik za szybko awansuje do drużyny pierwszej ligowej, za wcześnie zaczyna się dla niego ta wielka piłka nożna, by miał czas na uczciwe szkolenie. Dlatego oglądamy potem np. pucharowe spotkania międzynarodowe, gdzie polski zawodnik strzela Panu Bogu w okno. Formę da się złapać z meczu na mecz, ale techniki można osiągnąć tylko w uczciwym procesie szkolenia.

— Zbigniew Boniek mówi często, że na zachodzie zupełnie inaczej się trenuje. Tam



Fot. Tomasz Niemierski

się już nie szkoli zawodników, nie zamęcza na treningach, by formę zachowali na mecz. Zresztą Boniek przewyższa obecnie formą i kondycją piłkarzy grających w kraju.

— Boniek gra w jednej z najlepszych drużyn europejskich, razem z innymi asami futbolu. Trudno byłoby szkolić zawodników tej klasy. U nas natomiast w wieku 19 lat zaczyna się grać w ekstraklasie i często bywa tak, że silny chłopak, który szybko biega i ma serce do walki, wchodzi do podstawowego składu I-ligowej drużyny, niewiele jeszcze umiejąc. Kiedy w klubie jest 13—16 piłkarzy, z czego 2—3 stale kontuzjowanych, to trener nie ma wyboru i wstawia niewyszkolonego zawodnika. W „Juventusie“ każdy niemal gracz ma swego dublera, który siedzi na ławce i tylko czeka na niedyspozycję kolegi.

— Trochę to przeczy temu, co pan powiedział o możliwości zmontowania dwóch dobrych reprezentacji...

— Nie przeczy, bo ja nie ukrywam, że dobrych zawodników jest niewiele. Wystarczyłoby ich jednak, gdyby kalendarz wszelkich rozgrywek był mądrze ułożony. Ubiegłoroczny był fatalny, choć reprezentacja grała tylko

wiedział — z wielokropkiem. Pozegnaliśmy się w dymie palarni i wyszliśmy z niej już nawet bez tej chwilowej, wymuszonej bliskości, z którą rozmawialiśmy przez kilka minut.

Moja Ania — to nie jest złośliwy człowiek. W drodze rozchichotała się z dumności mojego spotkania i ze swej nowej znajomości, a potem, gdy powiedziałem jej o naszej wspólnej z Zeńką przeszłości — oburzyła się razem ze mną i razem wyciągaliśmy te i owe wnioski, pewne uogólnienia. Ale postanowiliśmy, że do Zeńki — pojutrze, o dziewiątej zero-zero — pójdę; po prostu ze sportowej ciekawości.

I poszedłem.

Co prawda czas był wyznaczony niezbyt szczęśliwie — w nocy dyżurowałem w redakcji i rano nie miałem czasu spać, ale — słowo się rzekło.

Wyszedłem znacznie wcześniej, żeby po drodze wstąpić do fryzjera.

I tu nastąpiło trzecie spotkanie, tak jak i pierwsze dwa, nieoczekiwane. Zeńka także wstąpił ogolić się.

Ujrzawszy go, przypomniałem słowa gogolowskiego Horodniczego: „Nie jestem mściwy” i uśmiechnąłem się po dawnemu, po przyjacielsku.

— Jak się masz, bratku — powiedziałem, podając rękę.

Ale on, zanim podał mi rękę, dotknął nią kapelusza, zupełnie, jakby był na trybunie i solidnie zagzmiał:

— Witam was, witam.

W poczekalni nikogo oprócz nas nie było, jednak zapytał, kto jest ostatni, a ja odpowiedziałem — że ja. Potem wziąłem ze stolika numer gazety, przy którym w nocy dyżurowałem, i zagłębiłem się w jego wnętrzu, a Zeńka wciąż trąbił i parsknął w chusteczkę nie odchodząc od wieszaka.

Ale oto zadźwięczał dzwonek.

Uroczyste, niczym demokrata-zwycięzca, przeszedłem do fotela i usiadłem — pierwszy. Zeńka wszedł w kilka minut po mnie, gdy już siedziałem namydlony. Jego także namydlono. Oba odczuwaliśmy ulgę i wdzięczność dla profesji fryzjerów — teraz już całkiem naturalnie możemy milczeć i nie patrzeć jeden drugiemu w oczy.

Mnie odmłodzono pierwszego. Ubrałem się i w niepewności — co mam robić? — zapaliłem. Ale oto wyszedł i on. W tej chwili zegar ścienny zachrapał i powoli, podczas gdy Zeńka ubierał się, wybił dziewięć razy.

— Spóźniasz się — powiedziałem, a w myślach — już nie mogą tak niedorzecznie żartować na głos — dodałem: „Czy właściwie — marudzisz?”

— No cóż, chodźmy — powiedział zamiast odpowiedzi i poszliśmy.

Drogi było na pięć minut, a tematów do rozmowy — jeszcze mniej. Pogoda, którą obaj widzieliśmy, nowiny, o których obaj słyszeliśmy... Wreszcie jest wejście do jego instytucji, oto i czwarte piętro, i poczekalnia.

— Proszę się rozebrać.

Sam — w palcie i w kapeluszu — wszedł do gabinetu.

Rozebrałem się, ciągle jeszcze spokojnie sącząc gorzkawy napój z kielicha skromności, i sięgnąłem do kieszeni po chusteczkę. I tu raz jeszcze wyrażałem miłe zdanie Sekretarka weszła za drzwi zabezpieczone dermą, wróciła stamtąd i powiedziała:

— Proszę bardzo! Jauhienij Michajłowicz prosi. A tutaj on — kiedyś po prostu Zeńka Lopuch, przyjaciół z oddziału partyzanckiego, z oddziału gazety rejonowej — ukazał mi się w całej swej okazałości.

Tusty i ocieślały od nagłego przekarmienia, aż do śmieszności poważnie nadęty, siedział za biurkiem i już trzymał nad kartką papieru gruby, czerwony ołówek. Dla podkreślenia swojej ważności wstał i powoli, zamasztył krokiem wyszedł z biurka.

— Proszę... — wskazał mi obły skórą fotel i, jak się wydawało, omal nie dodał: „Witam was. Słucham”.

Usiadliśmy.

— No więc... Olegu Piotrowiczu...

Uśmiechnął się, zadowolony z tego, że pamięta nie tylko moje imię, ale także imię mego ojca, kiedyś szeregowego partyzanta, a dzisiaj szeregowego kolchoźnika.

— Ja pana, Olegu Piotrowiczu, poprosiłem w następującej sprawie.

Umilkł na chwilę.

— Był u mnie niedawno Uładzimir Kanstancinawicz Darożka. Pamięta pan, jeszcze z partyzanckiej gazety? Teraz to już dość poważny towarzysz, na dość odpowiedzialnym stanowisku. I — choć to może dziwne — także pisze. Pan przeważnie w sensie felietonu... Bardzo dobrze zresztą — krytyka oddolna jest nam dzisiaj bardzo potrzebna. A towarzysz Darożka napisał historię naszej partyzanckiej Brygady. Nawet nie miałem możliwości zaznajomić się grubo z jego pracą, ale, na ile mogę sądzić z relacji, nasze nazwiska — pańskie i moje także znajdują tam odpowiednie miejsce.

Uśmiechnął się, kręcił grubym czerwonym ołówkiem w palcach obu rąk.

— No więc o co chodzi?

— Rzecz w tym, że my, panem powinniśmy pomóc towarzyszowi Darożce. Historia to historia i nikt nie ma prawa ukryć jej przed pokoleniami. Tym bardziej w obecnej chwili.

— No, ale co ja mam do tego?

— Bezpośredniej styczności, można powiedzieć, oczywiście... Jednak jest pomysł, że właśnie my z panem koniecznym powinniśmy pomóc towarzyszowi Darożce doprowadzić jego pracę do szerokiego radzieckiego czytelnika. Ja po swojej linii, poradziliśmy się w odpowiednich instancjach, zrobię, co uznaję za możliwe i niezbędne, a pana, jako człowieka, który włada piórem i w ogóle, skoro pan jest teraz w stolicy, proszę o pomoc w tej sprawie po swojej powołanej, linii. Podszlifować... styl literacki, spojrzeć po kącie fabuły i poszczególnych epizodów, no i — krótko mówiąc — Panu to, powiedziałbym — krótko.

W tym momencie wstałem. Kielich skromności był dopity i cisnąłem go na parkiet.

— W porządku. My także zrobimy ze swej strony, co uznajemy za możliwe i niezbędne w dzisiejszych czasach. Powinniśmy tylko, szanowny towarzysz Lopuch, poradzić się w odpowiednich instancjach, przemyśleć zagadnienie, a potem... Zresztą — proszę o wybaczenie!..

Odwrociłem się, doszedłem do drzwi, twardo zamknąłem je za sobą, szybko narzuciłem na plecy płaszcz przeciwdeszczowy i wyszedłem.

Co on robił — szedł za mną choćby do drzwi, czy pozostał na miejscu — nie wiem. Zresztą to nieważne. Zeńka Lopuch stoi mi przed oczami i teraz... czy, lepiej powiedzieć, siedzi przede mną za biurkiem, z grubą, czerwona twarzą i z grubym czerwonym ołówkiem, z miną władcy losu, z sytym uśmiechem tąpaka, któremu brakuje jedynie ogólnokrajowego rozgłosu...

„Nie jestem mściwy!”

Tylko bardzo by się chciało — i myślałem o tym, idąc przez park do domu — chciałoby się wynaleźć „taki sposób, aby zmusić przekłyty czas do tego, by się cofnął, tak jak to można zrobić z taśmą filmową. Nie trzeba mi wiele — cofnąć by tylko o te trzy dni, licząc od chwili, gdy usiadłem przed Lopuchem w miękkim skórzanym fotelu.

To, co on mówił, a czego ja cierpliwie słuchałem — o nieudolnym i dawno mi znanym rękopisie Darożki, o naszych — moim i Lopucha — nazwiskach, które powinny wzbudzać zapal w pokoleniach — wszystko to odciałbym i, jak prześwietloną taśmę, wyrzucił do kosza. A potem nakręciłbym film z naszych trzech dni w następujący sposób.

Oto wstaliśmy obaj od biurka w jego gabinecie i poszliśmy z powrotem do fryzjera, na oczach porastając zarostem... Nie, poszlibyśmy ogoleni, zapłacilibyśmy w kasie, usiedli w fotelach, mistrzowie napudrowaliby nas, odświeżyli, potem by ogolili, potem wstaliśmy z foteli obrońnicy, a następnie... Niech to diabli, trudno myśleć od tyłu do przodu!

Zresztą to niepotrzebne! Chciałbym po prostu, by powrócił tamten wieczór naszego spotkania w teatrze, aby tam właśnie zaczęło się wszystko kręcić normalnie, abyśmy obaj ucieszyli się z tego spotkania, porozmawiali jak towarzysze... Aby nie przepadło to — nasza przyjaźń! — co nie powinno ginąć, tak jak nie powinno zarastać błotnistym grzęzawiskiem czyste jezioro... Albo jakiegokolwiek innego odpowiedniego porównanie. Chciałbym tylko znaleźć ten przekłyty moment w życiu człowieka, gdy zaczyna się on stawać świnia — aby należycie nań, na ten zarodek chamstwa, automatyczny wyłącznik, a potem, gdy zajdzie potrzeba, użyć także dźwigu głębinowego...

A póki co — może powinienem smagnąć Lopucha felietonem?..

Przełożyła z białoruskiego
Anna Sobocka

pięć meczów. W tym roku będzie ich znacznie więcej, a w lecie odbędą się jeszcze igrzyska olimpijskie. Jednak kalendarz nie wydaje się najgorszy, bo trzeba sobie zdawać sprawę z tego, że my nie ustalimy terminów spotkań międzypaństwowych, ale trzeba je negocjować z rywalami. Idealnego kalendarza nie będzie więc nigdy. Bardziej niepokoi mnie przyszły rok, bo w maju pierwsza reprezentacja rozegra aż trzy wyjazdowe mecze, czyli wtedy, kiedy z reguły najlepiej się gra w lidze.

— Pańskie pismo, nie jedynie zresztą, narzekało na polską ligę, że jest bezbarwna, nijaka itd. Czy można mieć nadzieję, że runda wiosenna będzie lepsza od jesiennej?

— Błąd, jaki popełniamy, polega na porównywaniu naszych spotkań ligowych do telewizyjnych meczów z Anglii czy RFN. Jak faktycznie grają zachodnie ligi, nie wiemy, tak jak oni nie wiemy, jak gra nasza. Nasza liga jest — wydaje mi się — średnia.

— Dawniej były dwie ekstraklasowe drużyny: Górnik i Legia. Teraz, nie licząc chłimerycznego Widzewa, ekstraklasa się wyrównała. Czy było to równanie w górę czy w dół?

— Ani w górę, ani w dół, bo nie ma co prawda etatowych mistrzów, ale zespoły prezentują w miarę wyrównane, średnie umiejętności. Było to więc równanie ku przeciętności.

— A jak na tym nie ochenia pan grę belarusków?

— Dawno już się chyba nie zdarzyło, by beniaminki narobiły tyle zamieszania. Górnik Wałbrzych wygrał rundę jesienią, a lubelski Motor także jest w ścisłej czołówce. Oba zespoły pokazały coś, czego brakuje etatowym pierwszoligowcom, to znaczy wolę walki, a ponadto wcale nie były gorzej wyszkolone.

— Czy nie był to rezultat sztucznego „nawładowania akumulatorów”?

— Wiosna jest zawsze trudniejsza dla beniaminków niż jesień. Przy czym ta zasada wcale nie musi się sprawdzić w odniesieniu do Górnika czy Motoru. W drużynie lubelskiej grają teraz Kakietek i Iwanicki, a więc już doświadczeni piłkarze, a oprócz nich Kalinowski — przecież były reprezentacyjny bramkarz, a także Pop, Wit-

kowski, Szaniawski, którzy poziomem wyszkolenia nie ustępują asom z czołowych klubów. Trener Cmikiewicz, jako piłkarz, zawsze imponował wolą walki i chęcią do gry, a zatem pewnie wszczepił te cechy pozostałym zawodnikom. Nie zdziwiłbym się gdyby Górnik i Motor zadomowiły się w lidze.

— Motor był kilka lat temu w ekstraklasie i grał przyswoił tylko jeden sezon.

— To był trochę inny Motor. Wtedy nie lubelska drużyna wzmacniła się kilkoma doświadczonymi zawodnikami, a inne kluby „podebrały” niektórych piłkarzy z Lublina. Jednakże przestrzegam, że wiosna może się okazać trudna.

— Polskiej lidze brak jest właśnie tej woli walki. Najczęściej gra się na remis, najczęściej bezbramkowy. Czy zmiana zasad punktacji nie poprawiłaby czegoś w tej dziedzinie?

— W ZSRR dziesięć pierwszych remisów premiowano jednym punktem, a za następne konto punktowe nie powiększało się. Nie wniosło to ożywienia do ligi radzieckiej. W Anglii za zwycięstwo otrzymuje się 3 punkty i wyniki tej operacji są mierne. Nie ma sensu np. preferowanie strzelania bramek, bo mamy przykład Brazylii, która na ostatnich mistrzostwach świata była nastawiona na strzelanie bramek i zupełnie zapominała, że sama też ma bramkę, do której będą strzelać przeciwnicy.

— „Uchwała GKKFIS w sprawie gospodarki finansowej klubów i świadczeń materialnych piłkarzy I i II ligi” wprowadza preferencje finansowa dla tych klubów, które w sezonie zdobyją więcej niż 10 punktów. Za każdy następny punkt klub otrzymuje 125 tys. złotych.

— Na temat tego zarządzenia wiele pisaliśmy, a ja sam wiele rozmawiałem z działaczami. Zapytałem działaczy PZPN, czy gdyby oni sami opracowywali to zarządzenie, byłoby ono podobne. Odpowiedzieli, że na pewno byłoby inne. Wiem, że zarządzeniami pewnych spraw nie rozwiążemy. Działamy w systemie socjalistycznym i władze sportowe regulują stosunki w futbolu na nasz sposób, ale piłkarzom przychodzi rywalizować z zawodowymi drużynami z systemu kapitalistycz-

nego. Cały ubiegły rok dyskutowaliśmy o pieniądzach, ile kto może i powinien zarobić, a nie mówiliśmy o tym, jak lepiej grać. Plaćić trzeba natomiast dobrze za dobrze spełniane obowiązki. Nie tylko w piłkarstwie.

— Czy polskiej piłce pomogło oficjalne zawodowstwo?

— Ja nie wiem, czy u nas jest już zawodowstwo typu zachodniego? Faktem jest, że piłkarze żyją z gry w piłkę, ale nie mają etatów w klubie, tylko stypendia, a niektórzy nadal fikcyjne etaty w zakładach pracy. Nie wiem, czy to pomogło? Żeby można było liczyć na sukcesy, wszystko musi być uczciwe. Co to znaczy uczciwe? To znaczy m.in. jawne. Do ubiegłego roku wynagrodzenia piłkarzy były tajne; wysokość premii, transferów — także. Ubiegłoroczna uchwała Zarządu PZPN to był pierwszy krok we właściwym kierunku. Nowe zarządzenie GKKFIS to jest następny krok, ale... zarobki trenerów to znów sprawa niejasna, bo wedle przepisów nie mogą oni otrzymywać premii za wygrane mecze, a otrzymują. Tak więc do pełnego zawodowstwa nam jeszcze daleko.

— Czy wspomniana uchwała obetnie zarobki piłkarzom?

— Obetnie i nie obetnie, bo będzie się opłacało dobrze grać, a już szczególnie występować w reprezentacji, oczywiście jeżeli reprezentacja będzie wygrywać.

— Często pisze pan na temat publiczności...

— Jest to problem, powiedziałbym, nierozwiązywalny na obecnym etapie. Można by tony papieru zmarnować, a widzowie będą się pewnie zachowywać jak teraz. Uważam jednak, że dlatego jest to problem tak trudny, iż to nie kibicom brakuje kultury, ale brakuje jej po prostu społeczeństwu. Przykro mi to mówić, ale Polacy smutek, radość, niemożność topią w wódce. Alkohol zaś jest przyczyną wulgarnego zachowania na stadionie: strzelili bramkę, stracili; dobrze grali; źle; sędzia kałosz, nie kałosz — wszystko jest okazją do otwarcia nowej butelki. To jest dramat, nad któ-

rym głowią się wszyscy i nie nie pomaga. Od wielu lat kontroluje się wchodzących na stadiony, a po każdym meczu sprząta się setki pustych butelek. Ktoś powiedział: — Człowiekowi opadają nie tylko ręce...

— A jak wyglądamy na tle innych krajów?

— W Anglii jest jeszcze gorzej, ale to słaba pociecha. Będąc w Argentynie, obserwowałem ludzi wychodzących z meczu z Polską i pomimo, że miałem na piersi orła, nie spotkałem się z żadną agresją, a raczej z przyjacielskimi odruhami. Tam! W Argentynie, gdzie podobno strzelają do sędziów!!! Kiedy Argentyna zdobyła mistrzostwo świata, całe Buenos Aires szalało ze szczęścia do samego rana, a nikt nie oglądał się za lokalami, gdzie stały całe beczki z tanim winem. Kiedyś, na mecze przychodziły u nas całe rodziny. Ojcowie z synami, mężczyźni z narzeczonymi, żonami, siostrami, a dziś balbym się zaprosić kobietę na mecz, żeby nie narazić jej na słuchanie tych ordynarnych piosenek, okrzyków. O dzieciach już nie wspomnę. Dziwię się jednak, że pan o to pyta, bo akurat lubelska publiczność znana jest z dość poprawnego zachowywania się.

— Jakie szanse daje pan Motorowi w walce o mistrzostwo Polski?

— No cóż, pierwszego miejsca pewnie nie zdobędzie, ale jeżeli nie straci swej zadziorności w grze, pomysłowości i woli walki, to powinni zmieścić się w czołówce tabeli. Niewykluczone, że Motor włączy się do walki o prawo gry w Pucharze UEFA, ale ja bym lubelskich kibiców przestrzegali przed zbyt dużymi wygórowanymi żądaniami wobec piłkarzy Motoru, bo na pewno zwycięstwa będą im na wiosnę przychodzić trudniej, niż w poprzedniej rundzie.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
Tomasz Niemierski

MITY I REALIA RAĆLAWICKIEGO ZWYCIĘSTWA

Dokończenie ze str. 1

walce kosynierów po bitwie oficerowie nie mogli powstrzymać od obdzierania trupów; wielu chłopów, uznawszy, iż wypełnili swój obowiązek, unosząc zdobycze rozbiegło się do domów. W tej sytuacji Kościuszko nie mógł myśleć o pościgu za uchodzącym, lecz utrzymującym dyscyplinę nieprzyjacielem. Co więcej, obawiając się jego powrotu, zarządził o północy odwrót z pola bitwy do oddalonych o 14 km Słonnik.

Jak podkreślają wszyscy badacze dziejów wojskowości, pomimo zwycięstwa nie udało się Kościuszkę zrealizować zamierzeń operacyjnych, tj. przedarcia się w kierunku Warszawy. Sukces taktyczny pozwolił mu jednak na długą stosunkowo chwilę oddechu, na wzmocnienie i przeorganizowanie sił w obozie pod Bosutowem, a następnie podjęcie kolejnej próby przebiecia się do stolicy.

Dawni i współcześni historycy stwierdzają zgodnie, iż odniesione w pierwszej bitwie zwycięstwo miało przede wszystkim ogromne znaczenie moralne. Wiśń o Raclawicach rozeszła się lotem błyskawicy po całym kraju, budząc ducha walki. Bezpośrednim politycznym następstwem Raclawic było więc rozszerzenie się powstania, akces do niego stacjonującej na Lubelszczyźnie doborowej dywizji wielkopolskiej, a następnie insurekcja warszawska i wyzwolenie się Wilna.

Od tych wszystkich doceniających znaczenie bitwy, lecz wyważonych sądów odbija, idący znacznie dalej w swej optymistycznej ocenie Raclawic, Stefan Bratkowski, który pisze: „Dla czego niewielka co do skali bitwa pod Raclawicami nabrała takiego znaczenia? Po raz pierwszy od czasów Jana Sobieskiego Polacy pokonali swego przeciwnika bezapelacyjnie, nie tylko zadając mu ciężkie straty, jak pod Dubienką, ale utrzymując pole, biorąc jeńców i sprzęt wojenny w zdobycy. Przekonali się, że mogą, że potrafią zwyciężać. Analogiczną rolę w edukacji wojsk rewolucyjnej Francji odegrała bitwa pod Valmy, gdzie narodził się naród francuski”.

W konfrontacji z przytoczonym wyżej opisem rezultatów bitwy, sądy publicyści o jeńcach, utrzymaniu pola i stratach nieprzyjacielskich uznać trzeba za przesadne, podobnie jak analogie z Sobieskim i bitwą pod Valmy. Zgodzić się natomiast można z biografiem Naczelnika, gdy jak inni badacze, chociaż nieco inaczej, zwraca uwagę na moralne znaczenie tej bitwy, polegające, jego zdaniem, na przekonaniu się ówczesnych Polaków, iż w walce z zaborcami mogą i potrafią zwyciężać.

Jak niewiele innych zdarzeń, wycisnęły Raclawice swe silne piętno w naszej narodowej tradycji, kulturze i mentalności. Zdziwiająca kariera bitwy, fenomen Raclawic w dziejach polskich nie mogą być w pełni zrozumiane bez szkicowego choćby ujęcia związanej z bitwą legendy, będącej częścią wielkiej legendy Naczelnika i wyrażającej się najładniej, a zarazem najwyraźniej, w symbolice raclawickiej kosi.

U narodzin legendy Raclawic legła świadoma i energiczna propaganda i popularyzacja tego zwycięstwa, do jakiej natychmiast przystąpił Kościuszko. Współcześni wyolbrzymili od razu rozmiary sukcesu. Kollataj pisał o 100 zdobytych działach, inni mówili o 20 tys. Rosjan poległych na polu walki. Chwalebna w tych pierwszych zmaganiach z wrogiem rola kosynierów utwierdziła Kościuszkę w przekonaniu, iż plan przekształcenia powstania w wojnę ludową jest realny. Wszystko, co czynił więc Naczelnik po bitwie, nie miało charakteru wzniosłych i szlachetnych gestów, lecz zmierzało do poruszenia w całym kraju mas chłopów.

Według tradycji, Kościuszko już na polu raclawickim miał przywdziać chłopską sukmanę, a dwóch głównych bohaterów ataku na armaty: Wojciecha Bartosa i Józefa Świszackiego podnieść do rangi oficerskiej, nadając im stopnie chorążych. Być może uczynił to w dzień lub dwa później pod Słonnikami, gdy raz jeszcze dziękując kosynierom i pragnąc ich uhonorować,

nadał temu oddziałowi dumne miano Regimentu Grenadierów Krakowskich. W ich otoczeniu, przybrany w chłopską sukmanę, w Krakusce na głowie, odbył 8 kwietnia triumfalny wjazd do Krakowa, prowadząc zdobycze pod Raclawicami przez chłopów rosyjskie armaty.

Kilkunastodniowy pobyt w obozie pod Bosutowem wykorzystał Naczelnik na intensywne szkolenie chłopów w użyciu kosi i pik. Kościuszko — jak wspominał Zajacek — ubrany stale w „wieśniacza siermięgę, jadał i całe dni trawił z tymi świeżo przybranymi kolegami swoimi”. Na polecenie Naczelnika architekt wojskowy Piotr Aigner rychło opracował i wydał broszurę pt. „Krótka nauka o pikach i kosach”, której celem było jak najlepsze wykorzystanie tej groźnej w rękach chłopskich broni, czego właśnie dowiodły Raclawice. Do tekstu dołączył autor rysunki z wzorami osadzania na sztorc kos trawnych i kos od sieczki, czyli tzw. rzezaków. „Kosi — pisał Aigner — są bronią straszną w ręku włościan, szczególnie przeciw jeździe, gdyż kosa blaskiem swoim przeraża konia, a przeto zwalnia impet kawalerii, wystawia samemu kawalerzyście broń straszniejszą nad pałasz i śmiertelne mu zadaje rany”. Jego dalsze uwagi o taktyce korpusów pikienierów i kosynierów, oparte o instrukcję dla gwardii narodowej francuskiej, określały warunki współdziałania tej broni rewolucyjnej z armią regularną; miała ona pod osłoną artylerii i poprzedzana wyborem strzelców „na kształt piorunów, okrytych chmurami kurzawy, ognia i dymu, uderzać na nieprzyjaciela”.

Sam Kościuszko użycie owej broni widział w kontekście znacznie szerszym. W liście z 12 maja 1794 r., skierowanym do generała ziemiańskiego, Franciszka Sapięhy, tak o tym pisał: „wojna nasza ma swój szczególny charakter i jej pomyślność zasadza się najwięcej na upowszechnieniu zapala i na uzbrojeniu generalnym wszystkich ziem naszej mieszkających. Do tego wzbudzić potrzeba miłość kraju w tych, którzy dotąd nie wiedzieli nawet, że Ojczyznę mają. [...] Kto by uwierzył, że z dwiema kompaniami infanterii i trzechset tylko ludźmi z kossami, w wigilię do obozu zebranymi, zlamaliśmy pod Raclawicami piechotę moskiewską. I dlatego lud do sprawy publicznej przywiązywać należy. Użycie pańszczyzny jest rzeczą konieczną”.

Sławę raclawickiej kosi szybko rozpowszechniły w kraju liczne pieśni i utwory poetyckie z okresu insurekcji.

Mimo tej szerokiej i żywej propagandy nie udało się w pełni zrealizować planów przekształcenia powstania w wojnę ludową. Zaważyła na tym zbyt ostrożna polityka samego Kościuszki w zakresie reform włościańskich, i tak mimo swej połowiczności sabotowanych przez szlachtę. Wbrew powszechnym nadziejom, poza Raclawicami kosynierzy nie odegrali już na polu walki większej roli.

Sława bitwy raclawickiej jednak nie zbladła. Przeciwnie, po klęsce powstania i upadku Rzeczypospolitej, pamięć o tym jedynym odniesionym w polu zwycięstwie jaśniała pełnym blaskiem.

Pozycję raclawickiej kosi, jako symbolu walki, a zarazem wiary i nadziei w odzyskanie niepodległości, ugruntowała szczególnie anonimowa broszura opublikowana w Paryżu w 1800 r., pod znamennym tytułem: „Czy Polacy mogą się wybić na niepodległość”. Dziełko to, będące jedną wielką pochwałą tej ludowej broni i ogólnonarodowego powstania chłopskiego, napisał z inspiracji Tadeusza Kościuszki jego ówczesny sekretarz, Józef Pawlikowski, żarliwy patriota i zdeklarowany jakobin. Dowodził on, po niedawnych bolesnych doświadczeniach legiunowych, iż Polacy muszą liczyć przede wszystkim na własne siły. Lud przyciągnął do sprawy narodowej hasła wolności i równości oraz przykład braci, którzy w czasie insurekcji „bili się i odbierali armaty kossami. Kosa — przekonywał — przebija i tnie razem [...] kosa nie tylko zastanowi kawalerię, ale może na nią natrzeć i pobić, bagnet jest przeciw jednemu, żołnierz z kosą przy sile fizycznej może ranić trzech i czterech razem [...] aby tylko męstwo zawsze towarzyszyło bójce, nie masz broni, która by się opar-

ła kosi i nie masz wojska w Europie, którego by nią zwyciężyć nie można”.

Ogłoszony Kościuszkę za wynalazcę tej broni Pawlikowski wskazywał także, idąc widocznie za radami Naczelnika, na konieczność przestrzegania określonych warunków militarnych gwarantujących skuteczność użycia kosi. Z atakiem kosynierów należało więc czekać na dłuższe przerwy między salwami nieprzyjacielskiej artylerii, nacierać na przeciwnika z flanki i z tyłu, zniemacka, pod osłoną mgły, deszczu czy też nocnego mroku. O tych słusznych wskazówkach nie zawsze jednak pamiętano, natomiast sugestywne stwierdzenia autora broszury o wyższości kosi nad inną bronią przemawiała do wielu.

W czasach Księstwa Warszawskiego, które nadeszły wkrótce, hasła te nie cieszyły się jednak popularnością. Rządząca warstwa szlachecka nie chciała ludowych poruszeń, obce były one zresztą systemowi napoleońskiemu, nadto wojsko polskie było wówczas dobrze uzbrojone i wyszkolone.

Resentymenty do kosi odżyły podczas powstania listopadowego; ukazało się wtedy kilka wydań wspomnianej wyżej broszury, której autorem uczyniono gen. Kniaziewiczza, natomiast kosa raclawicka wysławiana w licznych pieśniach i wierszach patriotycznych.

*Ozdoba mej strzechy,
Spod Raclawic koso,
Znow powstają Lachy,
Życie za kraj niosą.*

— pisał ówczesny poeta Stanisław Bratkowski.

Tak oto kosa raclawicka stawała się najpopularniejszym symbolem walki narodo-wyzwoleńczej. Posługiwali się nim w swej propagandzie zwłaszcza działacze lewicy powstającej, dla których ludowe tradycje insurekcji kościuszkowskiej były szczególnie bliskie. Jednak podczas powstania listopadowego żołnierze polscy, chociaż najczęściej rekrutowali się z chłopów, walczyli w mundurach, uzbrojeni w karabiny bagnety i szable. Dowodzący nimi oficerowie, mający za sobą przeżycie świetnej służby wojskowej w latach napoleońskich, do metod i form ludowej wojny nie mieli zaufania. W r. 1830 i 1831 nie trzeba było zresztą sięgać do kosi, armia Królestwa Polskiego była stosunkowo liczna, świetnie wyszkolona i dobrze uzbrojona. Dalecy od wezwania chłopów do boju byli również, wychodzący ze swych klasowych interesów, ci, którzy powstaniem kierowali. Kosa raclawicka pełniła więc wówczas rolę patriotycznego symbolu, odartego ze społecznych odniesień.

Następne polskie powstania nie miały już jednak oparcia w regularnych polskich siłach zbrojnych. Szlacheckie kierownictwo powstania listopadowego zostało także poddane daleko idącej krytyce przez emigracyjną lewicę za nierozwiązanie sprawy chłopskiej, co zaważyło na wyniku walki. Chociaż nie bez krytyki wobec połowiczności reform kościuszkowskich, wrócono przecież znowu do propagowanego podczas insurekcji i tuż po jej upadku ludowego modelu powstania. Gorąco opowiadał się za nim Karol Stolzman, autor znanego na emigracji dzieła pt. „Partyzantka czyli wojna dla ludów powstających najwłaściwsza”.

Podobnego zdania był przebywający w kraju Henryk Kamiński. Uważał on, iż niepodległość Polski będzie można osiągnąć w wyniku uwłaszczenia chłopów i przyciągnięcia ich do powszechnego zbrojnego powstania. Wszyscy wówczas mieszkańcy powinni chwycić za dostępną broń: kosi, widły, topory i dzięki swej przewadze liczebnej i zapałowi rozbić armie zaborce. Idee takiej właśnie rewolucji i powstania chłopskiego propagowali także Edward Dembowski i ksiądz Piotr Ściegienny.

Czołowi polscy teoretycy powstania ludowego i zwolennicy rewolucji liczyli więc w przyszłej walce na sprawdzoną pod Raclawicami chłopską kosa. Nie mieli zresztą innego wyboru. Broni palnej nie było, jej użycie wymagałoby wyszkolenia. Ci, którzy mieli za sobą doświadczenia wojskowe, jak np. Ludwik Mierosławski, uważali, iż kosa można się jedynie posłużyć w pierwszych chwilach walki. Następnie kosynierzy powinni być przekształceni w regularne oddziały wojskowe i uzbrojeni w karabiny.

Nie zdolano jednak tego osiągnąć i kosi dzierżone w chłopskich dioniach pojawiły się znowu na polach zwycięskich potyczek pod Miłostawiem i

Sokołowem, stoczonych podczas powstania poznańskiego 1848 r. pod wodzą Mierosławskiego z oddziałami pruskimi. Były to jednak sukcesy przejściowe. Mierosławski zdawał sobie sprawę, iż kosynierzy nie mają żadnych szans w następnych starciach z koncentrującą się armią pruską, zrzekł się więc dowództwa i powstanie upadło. W dłuższej kampanii w walce z regularną armią kosa nie mogła oczywiście sprostać coraz bardziej nowoczesnym karabinom i armatom, strzelającym szybciej i celniej, niż te spod Raclawic. Doświadczenia powstania styczniowego tę oczywiście z punktu widzenia wojskowego prawdę potwierdziły raz jeszcze. Jego pierwszy i nieudany dyktator, wspomniany gen. Ludwik Mierosławski, chciał wprowadzić zastosować tym razem wynalezioną przez siebie maszynę w postaci wozu bojowego najezdzonego kossami, ale to skrzyżowanie starożytnego rydwanu i chłopskiej broni okazało się zupełnym nieporozumieniem i ośmieszyło ostatecznie nieszczęsnego wodza.

Mimo gorzkich doświadczeń i rozczarowań, wyniesionych z powstańskich pól bitewnych, mit kosi raclawickiej w poezji i literaturze kwitł i rozwijał się nadal. Kolejne strofy poświęcił jej lirnik mazowiecki — Teofil Lenartowicz w poemacie „Bitwa Raclawicka”.

Pod jego wpływem powstał najgłośniejszy bodaj utwór sceniczny poświęcony tej bitwie. Był to obraz historyczno-ludowy w 5 oddziałach Władysława Ludwika Anczyca, pt. „Kościuszko pod Raclawicami”, wystawiony z ogromnym sukcesem po raz pierwszy w Krakowie w 1880 r. W kulminacyjnej, zbiorowej scenie sztuki przedstawił autor szturm kosynierów na carskie armaty. Ciesząca się niesłabnącym powodzeniem, wystawiana wiele razy na scenach galicyjskich, wywoływała sztuka Anczyca w latach niewoli głębokie i szczerze przeżycia patriotyczne. „Znow beczalem — jakież to cudne” — notował w swych młodzieńczych „Dziennikach” w 1883 r., po lekturze tego utworu, sam Stefan Zeromski.

W malarstwie, po dokumentalnych raczej rysunkach i plótnach Michała Stachowicza i Aleksandra Orłowskiego, przyszła pod koniec XIX w. — wywodząca się już z ducha legendy wizja Jana Matejki: „Kościuszko pod Raclawicami” oraz słynna „Panorama Raclawicka” Wojciecha Kossaka i Jana Styki.

I chociaż na gruncie historiografii już po odzyskaniu niepodległości rozpoczęły się ostre niejednokrotnie dyskusje na temat bitwy i broni raclawickiej, zainicjowane przez M. A. Skalkowskiego, to w potocznej mentalności narodowej ów, otoczony aureolą wyrosłej w XIX stuleciu legendy, obraz Raclawic utrwalił się mocno.

Bitwa raclawicka miała także swą określoną wymowę polityczną, na jej tradycje powoływały się zwykle te siły, które opowiadały się za postępem i demokracją. Imię Tadeusza Kościuszki przybrała utworzona na terenie ZSRR w czasie II wojny światowej i dywizja Wojska Polskiego. W wierszu pt. „Kościuszko” pisał Włodzimierz Słobodnik:

*Czy to nad kosą kosyniera,
Czy w Nowym Świecie, czy nad Oką
Ten duch w sukmanie nie umiera,
Lecz świeci czysto i wysoko.*

Wielkie dziejowe wydarzenia, momenty ciężkie i trudne, wymagające mobilizacji wszystkich sił społeczeństwa, skłaniają do przywoływania narodowych symboli. Błędna one zwykle w powszedniej codzienności, schodzą na plan dalszy w zwykłych, normalnych czasach.

Jak dzisiaj wygląda prawda i legenda o raclawickiej bitwie? Nieco łatwiej ukazać te kwestie w świetle dokonań współczesnej nauki historycznej, znacznie trudniej określić ich odbicie w mentalności społecznej.

Niezależnie od dobrych czy złych intencji, które legły u genezy danego zjawiska i wpływają na jego społeczną recepcję, na naukę historyczną ciąży obowiązek krytyki legend i mitów, powinna ona dotrzeć do prawdy historycznej. Oczywiście tym zasadniczym założeniem mogą przyswiecać różne cele. Walka z legendą kościuszkowską, jaką podjął Mieczysław Adam Skalkowski, budziła dlatego wątpliwości i sprzeciw, że prowadziła do dyskredytacji zarówno postaci Naczelnika, jak i jego postępowych idei. Niektóre jednak myśli historyka poznańskiego zasługiwały na uwagę. Dowo-

Różewicz dawny i nowy

Dokończenie ze str. 1

krepuje inscenizatorów, delikatnie jedynie proponując, jak dramat ma być zagrany, liczy na pomysłowość reżyserów, choć, przyznać trzeba, najchętniej taką, która by była jakoś mu bliska. W „Rozmowach o dramacie” („Dialog” 1969 r.) powiedział: „Sam fakt realizacji jest dla mnie sprawą drugorzędą. Sprawą najważniejszą jest rozegranie dramatu „na papierze”. Co będzie z tym robione w teatrze, a nawet kto będzie to robił, nie jest dla mnie sprawą istotną. Chociaż na swój sposób interesuje mnie to również”. W tym kontekście warto spojrzeć na niektóre inscenizacje pierwszego dramatu Różewicza, jakie znajdują się obecnie w repertuarze polskich teatrów.

„Kartoteki”

Przedstawienie tego dramatu przygotowano niedawno Teatr im. J. Osterwy w Lublinie (prem. 28 stycznia 1984 r.), powierzając realizację sceniczną młodemu reżyserowi Markowi Glińskiemu, który obudował „Kartotekę” znaczną ilością „pomysłów”, uzupełniając różewiczowski „Dodatek” dramatu z 1971 r. „po swojemu”. W didaskaliach zaczynających dramat Różewicz podkreśla wyraźnie swoją niechęć do widowiskowych efektów: „Ludzie występują w swoich codziennych, zwykłych ubraniach. Nie wolno ich stroić w żadne efektowne kostiumy, kolorowe szmatki itp. akcesoria. [...] Jak najmniej barw i efektów. [...] Akcja trwa od początku do końca bez przerw”.

Marek Gliński stworzył wyraźne przedstawienie przeciw Różewiczowi. Zlekceważył proponowaną przez autora „formę otwartą”, spektakl ma początek sygnalizowany przez chór, przerwę i wyraźny koniec, z ukłonami aktorów, ich schodzeniem ze sceny, łącznie z Bohaterem. Posiada to przedstawienie również wiele barw, efektów i światła dyskotekowej proweniencji.

Termin „przeciw Różewiczowi” nie jest oczywiście synonimem ani „nie-dobrej reżyserskiej roboty”, ani bylejakości. Marek Gliński, choć reżyser jeszcze młody, wie doskonale, o czym chce mówić w teatrze, jest bardzo konsekwentny w realizacji swoich koncepcji i własnej wizji scenicznego dramatu.

Spektakl nieznacznie tylko rysuje sferę odniesień wojennych i warstwę polityczną sztuki (brak sceny z Górnikiem z „Dodatku”). W niewielkim jedynie stopniu podejmuje nurt rozważań egzystencjalno-moralnych zawartych w „Kartotece” (sytuacja człowieka w rozbitym, zdruzgotanym świecie, gdzie nie może „zamienić się w człowieka”, nie może odnaleźć właściwych znaczeń słów: miłość, prawda, wiara, nie może porozumieć się z drugim człowiekiem).

W wypowiedzi, jaką zamieścił reżyser w programie teatralnym, możemy przeczytać: „Różewicz w „Kartotece” jest przede wszystkim wielkim, odważnym moralistą naszego wieku”. Przypisywanie Różewiczowi tendencji przede wszystkim moralizatorskiej mogłoby się wydawać jakimś nieporozumieniem, szczególnie gdy myślimy o „Kartotece”, ale w tym przypadku tak nie jest, reżyser umiał uzasadnić, że również i tak można „czytać” Różewicza. Stworzył spektakl istotnie „moralizatorski” i „publicystyczny”, przybliżył i uwspółcześnił różewiczowską klasykę, wprowadzając wiele elementów, które obrazują nasze życie lat osiemdziesiątych; zachłanne rozszarpywanie zagranicznych przedmiotów „przywiezionych z Paryża”, wiec „na święto wiosny” urozmaicony hasłem: „Pokoń z kuchnią dla młodych małżeństw”, kolejni przy ulicznych aparatach telefonicznych, krytyka pracy (robotnicy wykonujący bezsensownie niepotrzebną pracę), krytyka szkoły (rozbudowana scena egzaminu dojrzałości) i wreszcie mody — aerobiku, disco (bo chyba nie jest to fascynacja reżysera tymi przejawami kultury masowej). A zatem nasza codzienność, choć nie jest to wcale „nasza mała stabilizacja”, jakiej nam „tyczył” przed laty Tadeusz Różewicz.

Przedstawienia „publicystyczne” szybko na ogół się starzeją, ale akurat te problemy, o których chciał Marek Gliński rozmawiać z lubelską widownią, będą jeszcze długo aktualne, może oprócz aerobiku. Lubelska „Kartoteka” jest przedstawieniem, które pokazuje i pokolenie różewiczowskiego Bohatera, i pokolenie, do którego należy mło-

dy reżyser, i jeszcze młodsze, a więc jest to spektakl, który powinien zainteresować szeroki krąg odbiorców. Dobrze zatem się stało, że Marek Gliński podjął ryzyko przełożenia „Kartoteki” na język lat osiemdziesiątych, albo raczej można by powiedzieć, że umiał to zrobić i bez znacznej szkody dla Różewicza.

Ale nie zawsze „uwspółcześnianie” bywa tak trafne. We wrześniu 1983 r. Krystyna Meissner zrealizowała przedstawienie „Kartoteki” na otwarciu swojego pierwszego sezonu w Teatrze im. W. Horzycy w Toruniu, próbując również przełożyć dramat na „współczesność” (fryzury w stylu punk, elementy ruchu dyskotekowego), lecz jakoś okazało się to nie do końca możliwe. A może po prostu od czasów napisania „Kartoteki” nasz świat i teatr nie zmieniły się aż tak bardzo, by trzeba na siłę „przerabiać” klasyczny tekst Różewicza?

ka Bohatera. Aktorzy nieustannie są obecni wśród widzów, zostaje więc zerwany podział między sceną i widownią. Nie nowość to oczywiście w teatrze, ale na naszych scenach zawodowych zjawisko nie tak znów powszechne. Połączyć widza i aktora, zbliżyć ich ku sobie, by Bohater był „Bohaterem”, może to właśnie jest dzisiaj pomysł na realizację różewiczowskiej klasyki, nie gorszy z pewnością niż próby uwspółcześniania.

W stronę „teatru śmierci”

Już „Kartoteka” ujawniła tę najbardziej tragiczną stronę pisarstwa Różewicza — problem człowieka wobec śmierci, chociaż inscenizacje teatralne dramatu raczej rzadko dotyczyły tych zagadnień. Różewicz kontynuuje i rozwija ten nurt rozważań szczególnie w



„Kartoteka” na deskach Państwowego Teatru im. J. Osterwy w Lublinie: Henryk Sobiechart (Bohater), Jadwiga Jarmuż (Tłusta Kobieta).

Fot. Zbigniew Zugał

Reżyserka próbuje odczytywać „Kartotekę” we wszystkich planach i na różne sposoby, niestety nie bardzo trafnie, nie chcąc pamiętać chyba, że „Kartoteka” — co przed kilkunastu laty zauważyła Maria Bechzyć-Rudnicka — jest najciekawsza w planie moralnym. Aktualność dramatu leży nie w warstwie publicystycznej, lecz w trwałości treści moralnych.

O tym wiedział z pewnością Bogdan Augustyniak, dyrektor teatru w Kielcach, realizując niedawno przedstawienie „Kartoteki” (prem. marzec 1983 r.). Spektakl kielecki stawia przede wszystkim pytania natury moralnej, o możliwość życia w rozbitym świecie, dotkniętym kryzysem wartości moralnych, gdzie wszelkie normy, ideały i wyobrażenia legły w gruzach. Prezentuje ludzkie postawy w sytuacji zagrożenia duchowego i fizycznego, i wynikające z tego ważne prawdy dotyczące ludzkiej kondycji. Stawia również pytania o prawo człowieka do słabości („klaskałem, Wujku”), o granice dopuszczalnego kompromisu moralnego (postać Pana z przedziałkiem), o trwałe zasady i nienaruszalne wartości. Takie pytania nie są obce również Markowi Glińskiemu, ale w lubelskim przedstawieniu trochę się gubią w natłoku kolorów, szmatek, dyskotekowych i ulicznych świateł, aerobiku. A może rzeczywiście myśmy w tym wszystkim zagubili problemy naszego życia? Przedstawienie „Kartoteki” w Lublinie prowokuje do odpowiedzi na to istotne pytanie.

Jeszcze jedno słowo uznania należy się kieleckiej „Kartotece” — jest bowiem ciekawą propozycją rozwiązań sceniczných, podejmuje próbę stworzenia teatru environmentalnego — teatru otoczenia, niemal fizycznie dotyka widzów, usadzonych wokół łóż-

najnowszym swoim dramacie, osnutym na motywach biografii Franza Kafki — w „Pułapce”.

Sztuka — jak określiła Elżbieta Morawiec — jest nową wersją „Kartoteki”, o poszerzonej perspektywie. „W przecuciach Kafki przegladają się całe dzieje ludzkości od Abrahama po komory gazowe Oświęcimia i masowe rzezie naszych czasów”. Bohater w „Kartotece” mówił w imieniu własnym i swojego pokolenia „porażonego śmiercią”, pokolenia ocalonych. W „Pułapce” pokazuje Różewicz problem rodziny ludzkiej wobec śmierci.

Doskonałym scenicznym przekazem różewiczowskiego „teatru śmierci” jest warszawskie przedstawienie „Pułapki” w Teatrze Studio, przygotowane przez Jerzego Grzegorzewskiego (prem. 15 stycznia 1984 r.). Grozę i śmierć obrazują szafy-komory gazowe, pękł zmianych włosów, ludzie w skórzanych płaszczach, bliski światła oślepiające widownię. Pokazuje ów spektakl lek człowieka przed drugim człowiekiem, człowieka zupełnie bezbronny wobec zagrożenia, świadomego w pełni swojego losu „zwierzęcia ofiarnego” — to nie tylko metafora biblijna; czynienie z człowieka zwierzęcia, masowe morderstwa — to przecież jest apokalipsa XX wieku, którą przeczuwał Kafka. Różewicz ją przeżył. Stąd od „Kartoteki” aż do „Pułapki” nieustannie przypomina te prawdy, chce je wciąż „odnawiać” widzowi, czasem pomaga mu w tym teatr, taki na przykład, jaki tworzy Jerzy Grzegorzewski.

Lidia Wójcik

dził on między innymi, że owa sława na broń insurekcji, kosa raclawicka, nie miała być początkowo użyta w walce, pierwsze założenia mówiły bowiem o pikach; sprawdziła się jedynie dzięki określonym okolicznościom pod Raclawicami, zawiodła zupełnie w następnych bitwach. Tymczasem wizja kosa raclawicka — pisał prof. Skalkowski — krzepiła późniejsze pokolenia, nie i maciła im jasność myśli. Gdy rozważano szanse powstania, rachunek na bojowych wypadal błędnie, bo rychło zapomniano nauki roku 1794”. W konsekwencji historyk ten obciąża kosę za kolejne niepowodzenia i omyłki, będące rezultatem przegranych powstań narodowych, tę koncepcję kosy jako kościszowską wyłożył w swojej broszurze Józef Pawlikowski. Koncepcje Skalkowskiego podzielało, a dzisiaj wielu uważa je za słuszne. Podając krytykę romantyczną koncepcję walki, odwołują się oni zwykle do przeciwnych, a równie ważnych, chociaż w narodowej tradycji nieobecnych, idei i założeń pozytywistycznych.

Ich bohaterów, broniących bliskich wielu w imię tradycji walk narodowo-wyzwoleńczych, podtrzymują nadal, przyczynił to Zbigniew Załuski, a także może wydać się zaskakującym Stefan Bratkowski, dobre imię raclawickiej kosa, jako broni groźnej i skutecznej, oraz jako dowód naszej narodowej i moralnej przewagi nad zaborcą.

Można się zapytać, czy zasadnicza płaszczyzna dyskusji została dobrana tu trafnie? Wszak dzieje narodu są jedne i niepodzielne, walczył on i pracował zarazem. Od ujęć publicystycznych warto więc wrócić na grunt badań historycznych i przypomnieć istotne ustalenia i dokonania w tej kwestii.

Już w 1953 r. Tadeusz Rawski stwierdził wyraźnie, zgodnie ze źródłami historycznymi, iż Kościuszko bronił sieczną, początkowo istotnie piką, zamierzał posłużyć się w powstaniu, jak sam stwierdził, „przez niedostatek innej”. Propaganda białej broni, od Raclawic przede wszystkim kos, miała na celu wzbudzenie do niej zaufania, a także przewyżczenie niekorzystnej dla operacji powstańczych statycznej taktyki linearnej. „Jeżeli zaś u Kościuszki — pisze Rawski — pierwsze wyniki uzyskane przez oddziały uzbrojone w kosa i pikę (Raclawice) wywołały niezwykle wysoką ocenę, to przecież chodziło tu głównie o podkreślenie bohaterstwa i poświęcenia dla ojczyzny mas ludu [...], a nie kosa jako takiej”.

I w innych, licznych powojennych opracowaniach, poświęconych stronie wojennej powstania kościuszkowskiego, zarówno o charakterze syntetycznym, jak i monograficznym, np. pióra Zdzisława Sulka, a zwłaszcza prof. Stanisława Herbsta, bitwa raclawicka i użycie w niej broni znalazły swą obiektywną, wyważoną i właściwą ocenę, przytaczaną tu niejednokrotnie.

Wracając natomiast do stanowiska Skalkowskiego wobec broni insurekcyjnej, trzeba stwierdzić, że dokonana tu analiza jej użycia podczas kolejnych zrywów wolnościowych wskazuje wyraźnie, iż kosą posługiwano się zawsze i jedynie z konieczności, a nie w imię doktrynalnych założeń. Wówczas, gdy Polacy dysponowali armatami, karabinami, jak np. w czasach Księstwa Warszawskiego i powstania listopadowego, uzbrojonych w kosa oddziałów nie było. Co najwyżej używano kosa jako symbolu do budzenia narodowego ducha. Pojawiała się ona realnie wtedy, np. w okresie Wiosny Ludów i w powstaniu styczniowym, gdy nie stało broni palnej.

Wpływ legendy raclawickiej nie był więc aż tak przemożny na nasze dzieje, jak by mogło się to pozornie wydawać. Trudno zatem obwiniać Kościuszkę i broń chłopską za narodowe przegrane, tragedie i nieszczęścia. Natomiast głęboko zrosniona z tradycją narodową legenda kościuszkowska, którą prof. Herbst nazwał „wielką i trwałą”, budziła w wielu pokoleniach uczucia patriotyzmu i miłości ojczyzny, dążenia do walki o wolność i niepodległość „Tradycja żołnierska niepodległości przelomu XVIII i XIX w. — zdaniem tego wybitnego historyka — okazała się przydatna, i w roku 1831, 1893, i 1914, i w latach ostatniej wojny i okupacji”.

Wiesław Śladkowski

„Kościuszko pod Raclawicami”, która ukazuje się nakładem Wojewódzkiego Komitetu Stronnictwa Demokratycznego w Lublinie.

Dzieci śmieci (2)

Jarosław Tomasiewicz

AGRESYWNA muzyka punk jest niejako osią całego ruchu. Jest zarazem swego rodzaju muzyczno-socjologicznym fenomenem: muzyka punk zapoczątkowała ruch młodzieżowy, ten z kolei utrzymuje jej żywotność i zapewnia stałą, choć dość wąską grupę odbiorców. Punk rock jest bowiem obłożony podwójną anatomią: jako część całej muzyki rockowej, znajdującej się poza obrębem oficjalnej „dorosłej” kultury, jak również ze strony pozostałych kierunków rocka, na którego marginesie się znajduje (odpłaca się zresztą punk rock szyderstwem, jak np. w utworze grupy WC „Młoda generacja” czy SS-20 „Nie płacz, Zbyszek”).

Nie dziwnego — punk nie jest muzyką łatwą w odbiorze. Wwiercając się w mózg zgrzytliwe dźwięki tanich gitar i spazmatyczny łomot perkusji tworzą potworny harmider, przez który z trudem przedziera się ochryply krzyk wokalisty. Oczywiście, nie cały punk rock jest taki, ale tak wygląda to, co można by nazwać „klasycznym” gatunkiem. Główne jego cechy to prostota posunięta do prymitywizmu, drapieżne brzmienie i olbrzymia dynamiczność. Charakterystyczna dla punku jest pewna jednostajność, niezmiennie powtarzanie przez cały utwór jednego motywu (przy zredukowanych do minimum solówkach itp. ozdobnikach); od innych stylów różni się również budową przewodniego motywu, który tworzą jak gdyby oderwane dźwięki (nie zlewające się, jak np. w heavy rocku).

Punk rock, zwłaszcza ten pierwotny, wyraźnie oparty był na wczesnym rock'n'rollu (do którego zresztą otwarcie nawiązywał), zauważyć można też ślady bluesa (lider U.K.SUBS zapytany, jaką gra muzykę, odparł: „Bluesa lat 80-tych”). Kto nie wierzy, niech przesłucha choćby płytę amerykańskiej grupy CRAMPS, zatytułowaną „Psychodelic Jundle”, na którą składają się rhythm and bluesowe i rock'n'rollowe standardy w drapieżnym nowofalowym wykonaniu. Innym przykładem może być utwór „Nowiutki Cadillac” grupy THE CLASH (LP „London Calling”).

Ale zacznijmy od początku. Jak twierdzą biegli w temacie, punk po raz pierwszy pojawił się w slumsach Ameryki już w połowie lat 60-tych, wchodząc na krótko w lukę między beatlemianą a rodzajem się kierunkiem „psychodelic”. Do prekursorów stylu punk należeli m.in. muzyk Iggy Pop (James Osterberg), zwany „dziadkiem punk rocka”, jego kolega po fachu Lou Reed oraz poetka i wokalistka Patty Smith. Uprawiały tę muzykę takie zespoły, jak MC5, THE STOOGES czy VELVET UNDERGROUND; nie sposób też nie dopatrzeć się podobieństw między punkiem a twórczością niektórych brytyjskich grup rhythm and bluesowych (np. THE WHO — patrz choćby „My Generation Blues” czy THE KINKS). Wówczas jednak punk trwał krótko, był stylem jednego sezonu; nie dziwnego — gorzka i agresywna muzyka nie odpowiadała tamtym czasom, „dzieci-kwiaty” wolały raczej „San Francisco sound”.

Ponowne narodziny punku rocka nastąpiły dziesięć lat później (choć podobno pierwszy koncert w stylu punk odbył się w jednym z londyńskich klubów już w końcu 1974 r.); w innych warunkach, w dobie kryzysu, recesji i bezrobocia. To ważne: wszak twórcami i słuchaczami punku byli właśnie zgorzkniali młodzi bezrobotni. W 1976 r.¹⁾ następuje prawdziwa eksplozja muzyki punk („punk rock revolution”); w ciągu niewielu miesięcy tworzą się dziesiątki zespołów grających punk (zaczynają też uprawiać go grupy starsze, np. THE JAM), które na pewien czas zdominowały życie muzyczne Wielkiej Brytanii. Warto przypomnieć, że od grania punku zaczynały takie zespoły jak POLICE, że grała go np. grupa ULTRAVOX. Ścisłą czołówką punku rocka stanowiła wówczas „wiel-

ka trójka”: THE SEX PISTOLS, THE CLASH i THE JAM; w chwili obecnej istnieje już tylko CLASH.

Tkwący w punku pierwotny impet rychło jednak osłabł. Po szczytowym rozwoju w 1977 roku, już w roku następnym odchodzi się od klasycznego punku, a nawet od samej nazwy, którą zastąpiono terminem „new wave”. New wave utrzymał — choć w nieco złagodzonej formie — punkową prostotę i dynamizm, podnosząc równocześnie poziom techniczny (przykład: THE INMATES); znużeni monotonią punku muzycy zaczęli poszukiwać nowego brzmienia (jak Howard Devoto). Muzyka nowofalowa zaczęła się różnicować; drugim obok punku nurtem new wave'u było reggae (ska, rocksteady), które rozpoczęło swą karierę mniej więcej w tym samym czasie, zaczęło też mówić o „nowej fali” w heavy rocku („new wave in the British heavy metal”: SAXON, IRON MAIDEN, MOTORHEAD), bluesie czy muzyce elektronicznej.

Z perspektywy czasu można śmiało powiedzieć, że punk — przy całym swym prymitywizmie — uratował muzykę rockową. Rock połowy lat 70-tych coraz wyraźniej brnął w ślepy zaułek, a raczej w dwa takie zaułki: nazbyt skomplikowaną, pretensjonalną i pseudofilozoficzną twórczość „art-rockową” oraz bezproblemowe, komercyjne disco. Punk przełamał tę tendencję, przywrócił rockowi dawną witalność i — oczyszczając pole dla śmiałych eksperymentów — wywołał w nim nowe sily. Innymi słowy — punk niejako reanimował rocka.

Obecnie można zaobserwować co najmniej cztery różne kierunki w muzyce nowofalowej, czy raczej (termin „nowa fala” już dzisiaj nic nie znaczy) „postpunkowej”.

Pierwszy reprezentują zespoły, które odeszły od punku czy new wave ku „lekkiej, łatwej i przyjemnej” muzyce komercyjnej. Szlaki przetarła grupa BLONDIE, potem poszły jej śladem następne, jak choćby THE STRANGLERS czy... JAM. Z tego nurtu wywodzi się też cały „modern romance” (new romantic, techno-pop), czyli elektroniczne disco z nowofalowym wokalem (typu HUMAN LEAGUE).

Drugi kierunek jest wprost przeciwny — wiele zespołów nowofalowych, znużonych jednostajnością punku, zaczęło eksperymentować, zbliżając się do rockowej, a nawet jazzowej awangardy. Ten kierunek wybrał m.in. John Lydon (Johnny Rotten), który po odejściu od SEX PISTOLS założył grupę PUBLIC IMAGE LTD., grającą „mieszaninę punk, funky i reggae”. Do punkowej (nowofalowej) awangardy zbliżają się też niektórzy muzycy starszego pokolenia, jak np. weteran free rocka Captain Reefheart czy były członek PINK FLOYD Rick Wright²⁾.

Przy okazji można tu wspomnieć o echu, jakie wywołał punk w odległym jazzie, w którym powstał styl określany jako „punk jazz” lub „no wave” (choć jego przedstawiciele, jak np. James „Blood” Ulmer, odrzucają tę nazwę i nazywają punk „antymuzyką”).

Niektóre grupy pozostały przy tradycyjnym punku rocku (pogo-punk); utrzymując dawną prostotę, różnią się jednak od swoich poprzedników wyższym na ogół poziomem technicznym. Do zespołów takich należą m.in.: U.K.SUBS, DAMNED, ANTI-NOWHERE LEAGUE, amerykańscy DEAD KENNEDY'S czy FALLOUT. Pokrewną staremu punku muzyką zwaną „oi” grają też zespoły skinów, takie jak: EXPLOITED, DISORDER, BLITZ³⁾, ONE WAY SISTEM.

Najbardziej oryginalną muzykę tworzą formacje czwartego nurtu⁴⁾, które podążyły drogą wytyczoną przez legendarny JOY DIVISION (rozpadł się po samobójczej śmierci swego lidera Iana Cur-

tisa w 1980 r.). Zalicza się do nich NEW ORDER (bezpośredni kontynuator JOY DIVISION), U2, SPEAR OF DESTINY, PLAY DEAD, COMSAT ANGELS. Grają one na ogół muzykę dość prostą, ale prostą pozornie, bo w sposób celowy i przemysłowy. Od dawnego punku obecny „cold wave” (stosowane są też inne nazwy) różni się przede wszystkim całkowitym brakiem dynamiki, niepowtarzalnym klimatem przygnębienia, beznadziejności i rozpaczy, „dawkowanym z precyzją psychiatry” (K. Majewski). Podobną muzyką, choć ze względu na rolę elektronicznych instrumentów zbliżającą się do awangardy, gra np. CABARET VOLTAIRE.

I na koniec jeszcze kilka słów o polskiej nowej fali.

Pierwszym wykonawcą muzyki punk w Polsce był niejaki Walek Dzedzej, uliczny wykonawca ballad, który bodaj w 1977 roku zamienił gitarę akustyczną na elektryczną, ale nie zdobywszy popularności w kraju wyjechał do USA. Później przyszyły pierwsze zespoły: KRZYŻYS (najpierw Krzyżys Romanus, potem Brygada Kryzys), SLIM, TILT, niedawno reaktywowany DEADLOCK i dalsze, takie jak: KANAŁ, ZWŁOKI, KECZUP, KONTROLA MÓZGU, STRAJK, OBŁĘD MORALNY.

Tak jak i na Zachodzie (choć w wolniejszym tempie), polski punk się różnicował: niektóre zespoły rozpadły się, inne zmieniały styl (jak np. BRAK w drugim wcieleniu grający z jazzowym saksofonistą⁵⁾ na ich miejsce jednak tworzyły się nowe. O dynamice tej muzyki świadczy fakt, że na I Przeglądzie MMG w Jarocinie grał tylko jeden zespół punk, na II — już 3, a w 1982 r. aż 8 grup nowofalowych⁶⁾. Nigdy jednak — w przeciwieństwie do Wielkiej Brytanii — polski punk nie przeżył swego triumfu.

Obecnie mamy w Polsce szeroką panoramę nowej fali: od profesjonalnych de facto grup typu DEZERTERA (dawniej SS-20) po zupełnie amatorskie w rodzaju EGZEKUCJI; od oryginalnej muzyki REPUBLIKI (czy zbliżonego REZERWATU) po wczesnopunkową twórczość WC czy „oi” w wykonaniu REJESTRACJI PRZEDPOBOROWYCH. Z innych grup new wave należy wymienić ŚMIERĆ KLINICZNA, KONTROLĘ W, BIKINI, ERSATZ, SZAMBO, ABADON. Natomiast jako ciekawostkę można podać, że pierwszym polskim zespołem rockowym, złożonym z samych dziewczyn, jest punkowy kwartet TRANS.

W tym miejscu wypadałoby podsumować cały artykuł jakimś zgrabnym morałem. Zamiast tego posłużę się cytata z tekstu Urszuli Bielous „Szał rocka”⁷⁾: „Rock — smutne zjawisko społeczne i kulturowe ma dziś zupełnie inną barwę i znaczenie aniżeli wesoły, żywiołowy rock and roll sprzed trzydziestu lat, kiedy był on po prostu muzyką do słuchania i tańczenia [...]”. Skąd ta różnica? Wcześniej pani Bielous porównuje: „Kto pamięta narodziny rock and rolla z połowy lat 50-tych — przypomina sobie zapewne, że był on synonimem swobody i radości, które wywoływały tamte dobre czasy („odwilż” i koniec zimnej wojny). [...] Dzisiejsza, druga niejako fala rocka jest niesłychanie agresywna, pełna tonacji ponurej, depresyjnej i w brzmieniu melodycznym, i w treści”. Autorka nie stawia kropki nad „i”, wniosek jednak jest przejrzysty — muzyka (i to, co się z nią wiąże) jest po prostu odzwierciedleniem czasów, w których żyjemy.

¹⁾ Można ryzykować stwierdzenie, że punk rock jest już raczej zjawiskiem społecznym, a nie muzycznym, gdyż swoją muzyczną funkcję punk (w formie czystej) spełnił w latach 70-tych.

²⁾ Styczeń 1976 r.: pierwszy koncert SEX PISTOLS.

³⁾ Inne formacje nowofalowej awangardy to TALKING HEADS, DEVO, THROBBING GRISTLE, DEFUNKT, DURRUTI COLUMN, CURE i wiele innych (zainteresowanych odsyłam do artykułu K. Słowicza „Muzyka ciemnej strony świata” w „Magazynie Muzycznym — JAZZ” nr 3/83).

⁴⁾ Choć LP tego zespołu „Second Empire Justice” wykazuje wyraźne wpływy new romantic.

⁵⁾ Rozróżnienie między tym kierunkiem a resztą nowofalowej awangardy jest czysto umowne, jednak jego specyfika i oryginalność skłoniły mnie do wyodrębnienia go.

⁶⁾ Inny przykład: BRYGADA KRZYŻYS, której członkowie ostatnio przekwalifikowali się z punków na rastafarian i stworzyli grupę reggae ISSIAEL.

⁷⁾ Na Festiwalu Muzyków Rockowych JAROCIN '83 było 9 zespołów nowofalowych, 6 punkowych (oraz 2 reggae i 1 new romantic), a wśród gości — 1 nowofalowy i 3 punk.

⁸⁾ „Kobieta i Życie” 1983 nr 38.

Kajet literacki

Petenci felietonistów

OLITERATURZE pisać podobno jest najłatwiej, bo piszą wszyscy — maturzyści, licealiści, a nawet uczniowie podstawówek. Pani magister zada coś do domu albo robi kartkówkę i już milion esejistów ma robotę. Potem najgorliwsi entuzjaści zdobywają etaty filologów, recenzentów, są oni, można śmiało powiedzieć, utrzymankami Muzy, czasem jej ulubieńcami.

Moja Muza trzyma mnie pod pantoflem i co parę tygodni wygonia z maszynopisami do redakcji. Deszcz nie deszcz, mróz nie mróz — zasuwał. Czasami jednak dzieje się odwrotnie — ludzie z maszynopisami docierają do mnie. Wtedy jestem w kropce, bo nie stanowią przeciw instytucji.

Ostatnio wpakował się do mnie wysoki, gruby, krzykliwy król życia.

Przydzwigał ze sobą tyle papieru, że w pierwszej chwili wzięłam go za tancerzka zbierającego makulaturę. Jednak widzę, że mam do czynienia z autorem. Kartkuje zeszyty i wielkiego sensu w tej pisaninie nie znajduję. Więc mówię chytrze:

— Kolega Jasiński przyjmuje interesantów w piątce. Ładuj się pan z tym do niego. Bierz pan bagażówkę i wio!

— A pan nie może?

— Sam ze sobą nie mogę dojść do ładu.

— I uważa pan, że to moje pisanie diabła warte?

— Na co rzucę okiem, to widzę, że diabła warte, a poznać całość, to trzeba by było miesiąc posiedzieć. Poza tym co to jest? Powieść czy dramat? A może gigantyczny poemat z przypisami? Do wszystkiego to jest podobne. Owszem, teraz modne jest pomieszanie gatunków, ale pan poszedł za daleko.

Myślałem, że pójdziesz sobie po takiej ostrej krytyce, ale Polak nigdy się łatwo nie poddaje. Facet nagle zaczyna atakować mnie osobiście.

— Panie! — mówi. — Zjechać to każdego można, pana też.

— No to wal pan — zainteresowałem się i słucham uważnie jego jadłowitego streszczenia. — Ależ to powieść dla młodzieży — przerywam mu.

— Czyżby? — nagle znowu jakby mi nie dowierza. Po chwili pyta ze stracenią odwagę. — A więc według pana jestem grafomanem?

— Wcale nie. Nie ma kogoś takiego.

— Jak to nie ma?

— Tak zwana grafomania to po prostu początki każdego pisania. Po tem albo przechodzimy do następnej klasy, albo repetujemy. Rada jest jedna, znana od stuleci — dbaj pan o szczerotę, prostotę. Nic więcej nie wymyślono.

Powiedziawszy to, znowu sięgam po bruliony, maszynopisy i nagle widzę kilka niezłych zdań. Nie mogę mu teraz powiedzieć: panie, rzuć pan to do diabła! Te dobre fragmenty mogłyby być ozdobą niejednego opowiadania czy artykułu. Powiedziałem mu to.

— Panie! — krzyczy. — To jeszcze najgorsze ze wszystkiego. Pokażę panu coś lepszego.

Znowu kartkuje zeszyty i znajduje same śmieci. Daremnie próbuję mu wytłumaczyć, co dobre, a co ni-jakie. Sam musi to zrozumieć, a na to potrzeba pięciu czy dziesięciu lat grzebaniny. Facet koniecznie jednak pragnie skrócić odległe terminy.

— Wypijemy? — pyta.

— Nie mogę powiedzieć, że nie piję, bo jestem na służbie, jako że nie jestem, ale wie pan, zaraz tu będzie żona.

— A ona nie wypije?

— Raczej nie.

Mężczyzna pożegnał się i wyszedł. Więcej kłopotów miałem ongiś z la-daczną pisałą wiersze. Szczególnie dużo tworzyła, gdy jej przyjaciel wy-lądował w pudle. Dotarła do mnie ze swoimi poematami, w których coś tam może i było ciekawego. Sąsiedzi uśmiechali się, gdy pukała do moich drzwi. Wreszcie skierowałem ją do redaktora Maćka, który wtedy instru-ował amatorów. Nie wiem, czy dotarła do niego. Nie wypada pytać.

Janusz Oleczak

ZMIERZCH IDOLA

POLSKA scena rockowa przypomina mi wielki wysiłek w którym poszczególni zawodnicy prą na oślep ku migotliwemu światelku zwanemu sukcesem. Osiąga go z reguły niewielu, a śmiertelny upadek któregoś z biegnących nie wywołuje wśród kibiców uczucia żalu, czy choćby współczucia. Walka jest emocjonująca i nawet największa gwiazda może zostać strącona przez biegnącego za nią peleton. Tak stało się z Józefem Skrzekiem — multiinstrumentalistą i kompozytorem o wielkich horyzontach myślowych.

W poprzedniej dekadzie był przez siedem lat gwiazdą pierwszej wielkości. Każde pojawienie się Skrzeka na estradzie wywoływało entuzjazm mło-

jący na basie w pierwszych latach istnienia SBB Tymczasem otrzymywali przedziwny konglomerat nuczony niby supernowoczesny, niemniej dla nich zupełnie obcy niezrozumiały. Zachwycać się nim mogła garstka „nawiedzonych” fanów ale nie tłumy. Kiedy więc na rockowej scenie lat osiemdziesiątych pojawiły się nowe grupy typu Porter Band, Perfect Maanam, TSA, Republika, młodzież natychmiast do nich przyłączyła, zapominając zupełnie o dawnym, podziwianym przez siebie idolu. Przy intrygujących propozycjach nowych „magów estrady” był im już niepotrzebny.

Gorycz porażki Skrzeka była tak wielka, iż na pewien czas zawiesił występy z własną grupą. Czuli się niko-



Józef Skrzek w towarzystwie Marianny Wróblewskiej podczas Lubelskich Spotkań Wokalistów Jazzowych. Fot. Lech Pempaj

dzieży, co zmuszało służby porządkowe do nadzwyczajnych wysiłków. Niejedna sala koncertowa uległa zdemolowaniu. Każdy chciał słuchać idola, co dla niego samego było dopięciem do pracy. Nie oszczędzał się w niej. Flirtował z rockiem i jazzem, nagrywał mnóstwo płyt (22 albumy), komponował dla różnych wykonawców, filmu i teatru (w tym także lubelskiego Teatru Wizji i Ruchu). Nikt zapewne z wielotysięcznego tłumy entuzjastów Skrzeka nie przypuszczał, że gdy z końcem 1980 roku grupa SBB ogłosi swą upadłość, gwiazda jej lidera zgłosi bezpowrotnie. Jakkolwiek bowiem Skrzek nie wycofał się po rozwiązaniu SBB z czynnego życia muzycznego i nadal nagrywał, to jego szanse na przewodzenie rodzimemu rockowi zmalały do zera. A szkoda!

Stalo się tak nieprzypadkowo. Niepokojny talent kompozytorski twórcy SBB, a wcześniej współpracownika Breakout i Niemena kierował się w obszary muzyki coraz trudniejszej w percepcji, bardziej wyrefinowanej stylistycznie, rzekłbym nawet konceptualnej. Od dynamicznego rocka i białego bluesa, oferowanych na pierwszych płytach SBB, przeszedł Skrzek do coraz bardziej skomplikowanych harmonicznie form parasyfonicznych. Mając do dyspozycji studio i imponującą baterię syntezatorów, mógł wreszcie tworzyć to, o czym marzył od dawna, a więc muzykę intuicyjną, w której liczy się zarówno temat, jak też improwizacja. Te intuicyjne ciągoty, ujawniane na ostatnich koncertach i płytach SBB (choćby „Memento z banalnym tryptykiem”), nie mogły rzecz jasna, liczyć na akceptację nastoletnich fanów. Przyczyna była zadziwiająco prosta — oni nie byli do tego dostatecznie przygotowani. Oczekiwali eksperymentalnych rytmów, dynamiki, owego „czadu”, jakim epatował Skrzek, gra-

jąc na basie w pierwszych latach istnienia SBB Tymczasem otrzymywali przedziwny konglomerat nuczony niby supernowoczesny, niemniej dla nich zupełnie obcy niezrozumiały. Zachwycać się nim mogła garstka „nawiedzonych” fanów ale nie tłumy. Kiedy więc na rockowej scenie lat osiemdziesiątych pojawiły się nowe grupy typu Porter Band, Perfect Maanam, TSA, Republika, młodzież natychmiast do nich przyłączyła, zapominając zupełnie o dawnym, podziwianym przez siebie idolu. Przy intrygujących propozycjach nowych „magów estrady” był im już niepotrzebny.

Obecnie Skrzek funkcjonuje na bocznych torze rodzimej estrady, choć żadną miarą nie chce tego potwierdzić. W rozmowie z dziennikarzami stara się udowodnić swą obecność w życiu muzycznym. Absorbują go znowu pierwszorzędne pomysły. Ma rozliczne zamówienia teatrów, doceniających wartość jego ilustracyjnej muzyki. Szykuje też ilustracje filmowe, chce nagrywać następne płyty. Słowem nie rezygnuje. Sporo w studiu nagrywa, eksperymentuje z synteźatorami i poprawia — z dala od rockowego zgiełku. Czasem decyduje się na koncerty w kościołach (Wrocław, Katowice, Piaski Śląskie, Oliwa, Częstochowa). Jest samowystarczalny i pełen uporu. Chce nadal grać muzykę totalną o głębokich wartościach intelektualnych, adresowaną do wyrobionego odbiorcy, niekoniecznie nastoletniego. Ma uznanie i poparcie najlepszych muzyków w kraju i z nimi właśnie planuje „come back” na estradę. Martwię się, że nie będzie to możliwe.

Istvan Grabowski

Krzyżówka nr 8 szyfrogram literacki

| | | | | | | | | | | | | | | | | |
|-----|-----|-----|-----|-----|-----|-----|-----|-----|-----|-----|-----|-----|-----|-----|-----|----|
| 1 | 2 | 3 | 4 | 5 | 6 | 7 | 8 | 9 | 10 | 11 | 12 | 13 | 14 | 15 | 16 | 17 |
| 18 | 19 | 20 | 21 | 22 | 23 | 24 | 25 | 26 | 27 | 28 | 29 | 30 | 31 | 32 | | |
| 33 | 34 | 35 | 36 | 37 | 38 | 39 | 40 | 41 | 42 | 43 | 44 | 45 | 46 | 47 | 48 | |
| 49 | 50 | 51 | 52 | 53 | 54 | 55 | 56 | 57 | 58 | 59 | 60 | 61 | 62 | 63 | 64 | |
| 65 | 66 | 67 | 68 | 69 | 70 | 71 | 72 | 73 | 74 | 75 | 76 | 77 | 78 | 79 | 80 | |
| 81 | 82 | 83 | 84 | 85 | 86 | 87 | 88 | 89 | 90 | 91 | 92 | 93 | 94 | 95 | | |
| 96 | 97 | 98 | 99 | 100 | 101 | 102 | 103 | 104 | 105 | 106 | 107 | 108 | 109 | 110 | 111 | |
| 112 | 113 | 114 | 115 | 116 | 117 | 118 | 119 | 120 | 121 | 122 | 123 | 124 | 125 | 126 | 127 | |
| 128 | 129 | 130 | 131 | 132 | 133 | 134 | 135 | 136 | 137 | 138 | 139 | 140 | 141 | | | |
| 142 | 143 | 144 | 145 | 146 | 147 | 148 | 149 | 150 | 151 | 152 | 153 | 154 | 155 | | | |
| 156 | 157 | 158 | 159 | 160 | 161 | 162 | 163 | 164 | 165 | 166 | 167 | 168 | 169 | | | |
| 170 | 171 | 172 | 173 | 174 | 175 | 176 | 177 | 178 | 179 | 180 | 181 | 182 | 183 | 184 | | |
| 185 | 186 | 187 | 188 | 189 | 190 | 191 | 192 | 193 | 194 | 195 | 196 | 197 | 198 | | | |

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — fragment książki, której tytuł oraz nazwisko autora utworzą pierwsze litery 17 początkowych wyrazów pomocniczych. Czarne kratki w diagramie oznaczają koniec słów, a podwójne koniece zdań. Wyrazy pomocnicze:

- Jeden z języków Indii — 123, 148, 88, 154, 61.
- chęć, pragnienie — 46, 36, 82, 27, 105, 128, 159, 177.
- wysoki urzędnik — 28, 55, 66, 194, 45, 82, 190, 170.
- rozrabiacz, człowiek podstępny — 43, 60, 128, 14, 161, 48, 167, 137, 134.
- VII — 82, 60, 11, 137, 183, 100.
- ptasie pazury — 7, 15, 185, 83, 76, 102.
- amerykański żubr — 193, 99, 2, 16, 178.
- połączona kablem z telewizorem — 197, 18, 20, 56, 183, 87.
- lódz wydrążona z pnia — 122, 120, 196, 66, 145, 153.
- przypuszczenie naukowe — 103, 78, 1, 25, 38, 147, 79, 35.
- metal z Lubina — 183, 192, 44, 109, 187.
- rezonans, reakcja na coś — 182, 174, 81, 150, 62, 76, 34, 54.
- bóg mórz — 198, 143, 160, 94, 184, 153.
- kategoryczny nakaz u Kanta — 189, 31, 24, 59, 2, 21, 12, 85, 123.
- wyrazy wdzięczności — 179, 8, 115, 23, 156, 164.
- nać kartoflana — 181, 40, 114, 162, 28, 93.
- przeciwstawianie się — 180, 9, 81, 58, 4, 136, 163, 30.

- zinnokrwesty kręgowce — 169, 51, 133, 84.
- patyna — 113, 163, 109, 116, 92, 273.
- symbol bardzo cienkiej tkaniny — 176, 32, 173, 127, 107, 104, 121, 42, 19.
- panieńskie fochy, kapryzy — 97, 90, 28, 18.
- zbiory wierszy — 163, 119, 112, 181, 71, 128.
- jedno w atomie — 165, 65, 181, 126, 96.
- człowiek lubiący włóczyć się, nieustannie — 198, 47, 142, 117, 124, 110, 146, 12, 22, 83.
- obraca głową — 57, 171, 150, 64, 152.
- grający krątek — 72, 17, 6, 26, 27.
- państwo arabskie — 122, 74, 144, 88, 68.
- naczynie do podawania wody bydłu — 166, 141, 111, 78, 193, 143.
- koniec wysiłek — 86, 80, 128, 158.
- kluski ziemniaczane — 151, 63, 67, 96.
- pomyłka — 3, 118, 77, 149.
- brudna woda po myciu naczyń — 41, 98, 23, 172, 191, 76.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 16 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy boni książkowy wartości 500 zł.

Rozwiązanie szyfrogramu nr 6

„Byliśmy jak dwaj zawistni wobec siebie poeci, którzy nie chcieli nie mogąc powiedzieć co o sobie wzajemnie myśla, spierając się w niepojętym potrzebie o to, czy lepiet fajko na miętko obstukiwad tyżeczka, czy też obcinać nożem”.

Stanisław Dygat „Podróż”

Nagrodę otrzymuje Ryszard Krzyżanowski, ul. I Armii WP 19/29 20-100 Chełm.

ARCHIWUM MISTRZÓW ANEGDOTY

Do Bernarda Shawa zwrócił się swego czasu czytelnik z następującym oświadczeniem:

— Mistrzu, pan nie ma 60 lat, ale trzy razy po dwadzieścia lat.

Na co Shaw odrzekł:

— Gdy skończą osiemdziesiąt lat, to pewnie pan powie, że będę miał czterdzieści razy po dwa latka.

Maksym Gorki był zaprzysiężonym wegetarianinem. Na jednym z przyjęć w czasie podróży po USA znalazł się przy stole z damą, która go usiłowała namówić do zjedzenia mięsa. Na propozycję zjedzenia kurczaka, szynki lub polędwicy pisarz przecie nie odmawiał. Ponieważ dama w dalszym ciągu nalegała, Maksym Gorki, patrząc jej głęboko w oczy, rzekł:

— Pragnę panią powiadomić, że jeśli kiedykolwiek będę jadł mięso, to tylko ludzkie, i tylko na surowo...

W letniej rezydencji Edisona było pełno różnego rodzaju urządzeń, ułatwiających pracę lub powodujących dużą oszczędność czasu. Pewnego razu jeden z gości uskarżał się, przebywając u Edisona na letnisku, na kolowrotek w wejściu do parku:

— Porusza się tak ciężko — mówił — że musiałem użyć całej stopy siły, aby go obrócić.

— Ale za to obracając go, napompuwał mi pan do zbiornika na dachu aż 90 litrów wody — roześmiał się Edison.

Baskopisarz francuski, La Fontaine, znany był z wielkiego rozbawienia. Swego czasu wybrał się w odwiedziny do przyjaciela. Na pukanie wyszedł sąsiad i rzekł:

— Ateś on przed tygodniem umarł!

La Fontaine milczał przez chwilę, zaskoczony, po czym odparł:

— Prawda, przecież byłem na jego pogrzebie...

Wyszperal: Ryszard Dunin

Począta literacka

Blawomir Z. Lublin. Pańskie przekłady są dokładne, ale wymagają opanowania tego, co posiadają tylko niektórzy poeci: daru

użyczenia własnego talentu tłumaczonemu tekstowi, aby nie tylko w warstwie tekstowej bliźki był oryginałowi. Nadto klasyki literatury rosyjskiej dawno znaleźli już swoich translatorów. Przekładając ich dzisiaj ponownie, należałoby mieć pewność, że rzeczywiście czyni się to lepiej niż Tuwim, Wazyk i inni. Radzę więc pokusić się o tłumaczenie współczesnej radzieckiej prozy, a z czasem także poezji. Niech Pan jednak nie traci kontaktu z naszą redakcją.

Barbara J. Lublin. Wiersze ó wiekzkości są za bardzo rozgadane. Są one małymi traktatami ze spora ilością dydaktyki. Potrzebna jest kondensacja, oszczędniejsza

postulowanie się słowem. Wydaje mi się, iż są w Pani wyrazne zadatki na prozaijkę. Widac to nie tylko w tych wierszach, ale przede wszystkim w przedstawionej nam powieści. Trudno o jej ocenę w „Początku Literackim”. Uczy bowiem sobie 120 stron masywności. Jej największą wartość, to niezwykła otwartość, brak kamuflowania obserwowanej i przeżywanego rzeczywistości, tej bezalnej głównie. Posiada ona wiele cech pamiętnika nastolatki, choć pisana jest przez osobę dorosłą, dla której jednak czas szkoły i dni nie jest zbyt odległy. Niejedno można tu powiedzieć o konstrukcji tej książki, o sposobie prowadzenia dialogów, refleksji, odautorskiej (której tak mało) i o wielu innych sprawach. Warto jed-

nak o nich rozmawiać, bo jest o czym. Albert T. Cheim. Ateś Pan jest sprawniejszy w twórczości epistolarniej niż w wierszach! Podziwiam Pańską sztukę polemizowania, także w wierszu pt. „Swieracz”. Wydaje mi się jednak, że Pan nie w pełni zrozumiał moja odpowiedź z 3 numeru „Kameny”. Ani mi w głowie coś slego o Syrokomli i romantykach. Chodzi mi tylko o to, że dziś nie można wyrazić — i nie trzeba — współczesnych treści, postępując się poetkami minionych epok, choćby najdoskonalszych

AEROBIC

ZA 10 ZŁOTYCH

Bożena Kowalska:

- 2 -

JAK się macie? Mam nadzieję, że poprzednia porcja ćwiczeń rozgrzewkowych nie była zbyt ciężka i monotonna. Dziś zajmiemy się nadal rozgrzewką poświęcając uwagę skłonom, które stanowią bardzo istotny element aerobiku.

Pamiętajcie o poprzednich wskazaniach dotyczących miejsca i warunków ćwiczeń, a także sugestiach żywieniowych.

Cwiczenie nr 5

Pozycja wyjściowa: nogi lekko rozstawione, ramiona wyprostowane na boki, w osi barków.

Wykonanie. Opad tułowia w przód przy usztywnionych stawach kolanowych. Wykonujemy go czterokrotnie do poziomu bioder, po czym — dwukrotnie głęboki skłon, w którym staramy się przyciągnąć klatkę piersiową możliwie blisko kolan; można schwytać się za pięty. Zakończenie powrotem do pozycji wyjściowej. Cwiczenie wykonujemy 8-krotnie.

Oddychanie — normalne; pamiętamy, aby nie blokować oddechu przy skłonie.

Cwiczenie nr 6

Pozycja wyjściowa: nogi lekko rozstawione, kolana lekko ugięte, ramiona wyciągnięte przed siebie (jak najbliższej uszu).

Wykonanie. Energiczny skłon do przodu z przeniesieniem ramion między nogami, w tył. Staramy się, aby głowa „podążała” za ramionami. Cwiczenie powtarzamy ośmiokrotnie.

Zakończenie powrotem do pozycji wyjściowej.

Oddychanie: wdech — w pozycji początkowej, wydech — w momencie, kiedy ramiona przechodzą między nogami.

Cwiczenie nr 7

Pozycja wyjściowa: rozkrok, lewa dłoń na prawym kolanie, prawa — pionowo w górę.

Wykonanie. Systematycznie (trzykrotnie) pogłębiamy skłon tułowia w kierunku prawej nogi, starając się przy czwartym dotknięciu czołem prawego kolana. Powracamy do pozycji wyjściowej i powtarzamy ćwiczenie. Czterokrotnie — w prawo, po czym cztery razy w lewo (wówczas prawa dłoń na lewym kolanie, a lewa — pionowo w górę). Po wykonaniu skłonów do prawego i lewego kolana tę samą sekwencję ruchową powtarzamy do „środk”, starając się przy czwartym skłonie schwytać za pięty. Ilość powtórzeń — również 4.

Oddychanie — normalne.

Cwiczenie nr 8

Pozycja wyjściowa: nogi rozstawione (możliwie lekko), dłonie oparte przed sobą na podłodze, kolana lekko ugięte.

Wykonanie. Nie zmieniając pozycji stóp i dłoni, 8-krotnie wykonujemy wyprost kolan. Głowa maksymalnie uniesiona (patrzmy przed siebie). Należy dążyć do tego, aby po wyprostowaniu nóg w kolanach, tułów opierał się na udach. Powracamy do pozycji wyjściowej, po czym powtarzamy ćwiczenie. Ogółem — 8 razy.

Oddychanie: wdech w pozycji wyjściowej, wydech —

w momencie prostowania kolan.

Tak wygłusza moja propozycja na najbliższe dwa tygodnie. Pamiętajcie, należy, że wykonujemy już osiem ćwiczeń, a nie tylko cztery działy podane. Przypuszczam, że jeśli ćwiczyliście systematycznie pierwszy zestaw, z drugim poradziecie sobie bez kłopotu lub z niewielkimi. Przestrzegam jednak przed robieniem czegośkolwiek „na siłę”.

Wskazania dietetyczne z poprzedniego odcinka pozostają aktualne z tym że czynimy dalsze ograniczenia w spożywaniu ziemniaków: spożywamy je najwyżej trzy razy w tygodniu i to w porcjach zredukowanych o połowę (do czego zaczęłam poprzednio). Nie jemy kolacji, zastępując ją szklanką soku z marchwi z posiekaną nacią pietruszki. Staramy się jeść możliwie dużo jabłek. Ma to ten walor, iż dostarcza witamin, a poza tym jest skuteczne w odwyuczaniu się od palenia. Powtarzam dziś także poprzednią sugestię, aby zrezygnować z picia kawy, alkoholu i mocnej herbaty, co nie przyjdzie zapewne łatwo i od razu. Stąd też propozycja redukcji tych „przyjemności” o połowę.

Na zakończenie sugestie muzyczne. Wydaje się, że z powodzeniem za podkład do oimiu ćwiczeń mogą posłużyć propozycje grupy „Lady

Pank”; w wydaniu płytowym czy kasetowym.

Opracował:

Michał Rey

Zdjęcia: Maciej Kaczanowski



Pozycja wyjściowa (ćwiczenie nr 5).



Cwiczenie nr 6: skłon w przód.



Cwiczenie nr 7: skłon do kolana.



Cwiczenie nr 8: wyprost kolan w skłonie z podparciem na dłoniach.

Życie towarzyskie i uczuciowe

Nie Agatha, tylko Anna...

WANTYKWARIACIE przy placu Trzech Krzyży w Warszawie (dokładnie w tym miejscu, gdzie rozpoczyna się akcja najsłynniejszego warszawskiego kryminału — „Złego” Leopolda Tyrmanda) kupilem najnowszy „kryminał” pani Anny Klodzińskiej pt. „W pogardzie prawa” za cenę dokładnie dwa razy wyższą od detalicznej pojedynczego egzemplarza. Od razu muszę powiedzieć, że żaden inny sensacyjny autor nie był w tym książkowym komisie ceniony tak wysoko. Mogłem przebierać w książeczkach Agathy Christie (docenionej na 50 proc.) i w dziełkach Chandlera (60 proc.), że o MacLeane nie wspomnę (30 proc.). Dziełko p. Klodzińskiej było tylko jedno, i musiałem o nie stoczyć bój z osobnikiem wyglądającym na studenta historii najnowszej. Chłopak tłumaczył mi, że ma z powieści pani Anny zdawać kolokwium, ale mu nie uwierzyłem. Przypuszczam, że chciał wystawić „W pogardzie prawa” na bukminastycznym straganie któregoś z licznych stołecznych bazarów po cenie jeszcze wyższej. Powieść pani Anny doczekała się już bowiem omówień w wielu pismach codziennych i najpoczytniejszych tygodniakach, z „Polityką” na czele.

Nie tylko z tego powodu nie będę streszczać historii zbrodni wroga, używającego dwójga nazwisk: Urarz i Panowski. Nadto uważam, że tej powieści z pewnością straszyć się nie da! Albo trzeba ją przeczytać, albo nie zwracać sobie głowy. Powiem szczerze, że ja czytałem tę książeczkę z myślą o sobie. Po prostu nieskromnie sadziłem — że mnie także autorka sportretuje na kartach swej powieści, oczywiście w osobie bohatera pozytywnego: majora Szczęsnego na przykład, albo kapitana Półńskiego...

Albowiem moja znajomość z panią Anną także ma wymiar niemal powieściowy. Oto któregoś popołudnia, przed dwa lata, kiedy poczytna pisarka snuła sieć intrygi „W pogardzie prawa”, w mojej samotni zaterkotał telefon. To był głos pani Anny, której postać przywołałem w jednym z licznych moich gazetowych wypracowań za pieniądze. Chociaż w tekście tym byłem wobec pani Klodzińskiej umiarkowanie krytyczny, pisarka okazywała mi telefoniczną wdzięczność. Za to mianowicie, że w ogóle dostrzegłem jej trud na niwie literackiej; że to nazwisko nie jest dla mnie tabu.

Byłem wstrząśnięty! A więc to prawda, a więc literaci nie zmyślają, kiedy w memuarach albo w wypowiedziach dla prasy, uskarżają się na ciszę; na celowe, sterowane pomijanie ich nazwisk w essay'ach encyklopedystów i uniwersyteckich bukbów! Prawdziwy pisarz jest sam. Tylko on, i jego dzieło. O tym wszystkim mówiła mi do tubki ozdoba biblioteczki „Labyrinth” i autorka literatury dla mas.

— Cena nie gra roli. — powiedziała pani Anna, która, w odróżnieniu od niektórych swoich kolegów po piórze, nie nacha nam przed oczami swoją książeczką czekową, chociażby mogła — Wszystko, co piszę, piszę sercem. Chcę dokonać tego, co niemożliwe; zatrzymać chwilę. Pragnę, żeby moje powieści były aktualne tu i teraz oraz zawsze i nigdy. Żeby, po prostu, były...
Rozumiem i popieram ten tok rozumowania. Chodzi o to, żeby major Szczęśny niezmiennie był między nami, by nam towarzyszył na całej drodze życia jak codzienna gazeta i program telewizyjny i Huta Katowice. Aby stanowił stały element współczesnego nam krajobrazu.

Nie chcę przesadzać, ale wydaje mi się, że zamiar swój pisarka osiągnęła. Ja na przykład codziennie, niemal podskórnie, czuję obecność majora Szczęsnego, jego bliskość, tuż, tuż... Czy może od pisarki wymagać czegoś więcej? Nie mogę — powiem otwarcie, i zdaniem tym zakończę temat powieściowy w tym donosie.

Pozostaje kilka słów ogólnej natury. Nie jest źle, powiedzmy sobie szczerze, z naszą kulturą w ogóle, a z poligrafią w szczególności, skoro takie książki docierają do czytelników, skoro osiągają 150-tysięczne nakłady i skoro rozchodzą się na czytelniczym rynku bez zwrotów. Nie literatura trzeba wyprowadzać za granicę, lecz treść literacką — by akcję uczynić bardziej wartką, a wybory postaw bardziej klarowne. Taka jest recepta na literacki sukces i taki sukces w tym miejscu odnotowuję z satysfakcją.

Tymczasem nie tylko pani Anna Klodzińska bliższy na firmamencie stołecznym Oto, przecierając oczy ze zdziwienia, przeczytałem o wizycie, jaką osobistości duchownej złożyli przedstawiciele środowisk twórczych. Nie by w tej wizycie nie było dziwnego, gdyby nie jedna osoba: publicystyka i podpora — nie tak dawno — tygodnika ilustrowanego „Przyjaźń”. Słowo daje! Przez całe lata, z redakcyjnego obowiązku, adjuutowałem jej śmiało i na wskroś materialistyczne teksty z życia ateistów i przeciwników bezduśnej wiary, pokuły i zabobonu, że tym razem nie mogłem opanować śmiechu. Przyjaciółka i towarzyszką pracy socjalistycznej niezłowniej mojej szefowej Marii Putrament — w kruchole! Tego by nawet Jan Pietrzak nie wymyślił. O którym — następnym razem (jeśli się nie nie zmieni).

Janusz Atlas

PS. Bohater poprzedniego felietonu, niesforny uczeń Janiny Porzadzkiej, z tygodnika „Itaczewiści”, opublikował następną bajkę. Tym razem o mnie. Nazwał ją, He wiesz, ale też w zgodzie z prawdą donosił, że ja na niego słusiam.

J.A.

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Wańsiewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopciowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Socjan, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasłowski (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Henryk Pajak, Waldemar Siciński (fotoreporter), Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych zastrzeżenie sobie skróty w sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątek w godz. 14-18.

Wydawca: Lubelskie Spółdzielnie Wydawnicze RSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 4, tel. 153-12.

Druck: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PRWN w Lublinie, ul. Unieka 4.

Adres redakcji: 20-023 Lublin, ul. Skłodowska 1/1.

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego 255-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-55.

Korespondencje swytkie prosimy kierować pod adresem 20-023 Lublin, skrytka pocztowa 231, pocztowa i ekspresowa — pod adresem redakcji.

PL ISSN 0137-7188. Nr indeksu 36251.

Zam. 537/94. 0.03.94 r. L-4.